

ARTUR OLCHOWY

CZAROWNICA ZNAD KAŁUŻY



GENIUS
CREATIONS

ARTUR OLCHOWY

CZAROWNICA ZNAD KAŁUŻY



[Kup książkę](#)

Czarownica znad Kałuży

Copyright © Artur Olchowy

Copyright © Wydawnictwo Genius Creations

Copyright © MORGANA Katarzyna Wolszczak

Copyright © for the cover art by Paweł Dobkowski

Wszelkie prawa zastrzeżone. All rights reserved.

Wydanie pierwsze, Bydgoszcz 2017

druk ISBN 978-83-7995-102-4

epub ISBN 978-83-7995-103-1

mobi ISBN 978-83-7995-104-8

Redakcja: Małgorzata Holender

Korekta: dr Marta Kładź-Kocot

Projekt okładki Paweł Dobkowski

Redaktor naczelny: Marcin A. Dobkowski

Skład i typografia: Studio Grafpa, www.grafpa.pl

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

MORGANA Katarzyna Wolszczak

ul. Podmiejska 13 box 27

85-453 Bydgoszcz

sekretariat@geniuscreations.pl

www.geniuscreations.pl

Książka dostępna w księgarni: www.MadBooks.pl,
www.eBook.MadBooks.pl i eBooks4U.pl

Kup książkę

SPIS TREŚCI

CZĘŚĆ PIERWSZA

OKARTOWO	7
----------------	---

CZĘŚĆ DRUGA

JĄNSBORG	245
----------------	-----

EPILOG

OKARTOWO	477
----------------	-----

CZEŚĆ PIERWSZA OKARTOWO

Mnie wtedy jeszcze na świecie nie było, ale babka mi opowiadała, że mieszkała nad Kałużą wiedźma, która pysk miała tak okropny, że nazywali ją Koślawa. No i ona zasadniczo nieszkodliwa była, choć pono pyskata. Ale za to leczyła ludzi, i to tanio. Gorzej mieli ci, co jej zależli za skórę. O, wtedy to nie odpuściła. Nikomu. Nieważne było, czy to sołtys, burgmajster, ksiądz czy nawet diabeł. Koślawa nie bała się nikogo. Jak szłem kiedyś spać, jeszcze jak byłem małym srelem, to mi babka opowiedziała taką historię:

Razu pewnego, jak Koślawa szła skrajem lasu za pruskim cmentarzem, to spotkała urodziwego młodzieńca w porządnym ubraniu i czapce z takim dużym daszkiem, ale naobkoło. Jak tylko ją zobaczył, ukłonił się głęboko i uśmiechnięty podszedł bliżej.

– Dzień dobry, babciu – przywitał się grzecznie. – A co babcia taka zatroskana? Wszak słonko świeci i kości grzeje.

Koślawa wiedziała, że to diabeł jest, ale wcale nie dała tego po sobie poznać. Za to twarz ukryła w dłoniach i zapłakała:

– O, my nieszczęśliwi! Taka susza, że na Czarci Ostrów suchą stopą można przejść, ryby się duszą i wypływają brzuchami do góry. Na polach wszystko wypalo-

ne, do lasu strach wchodzić. Jagód w tym roku nie było, grzybów też nie będzie. I ja żadnych ziół zebrać nie mogę, bo wszystko się zeschło, zanim zakwitło. Co my zrobimy, biedacy? – biadolita.

Widząc zapłakaną starowinkę, diabeł podał jej białą chustkę. Zielarka przyjęła ją, ale nadal ryczała i wygrażała niebu, na którym nie było ani jednej chmurki.

– Babciu, to może ja pomogę? – zaproponował kusy. – Przysięgam ci, że z rana zacznie tak padać, że do wieczora Kałuża odetnie Czarci Ostrów i znów będzie jak dawniej. Ale nic za darmo – zastrzegł.

Kośława już się uspokoiła i podejrzliwie popatrzyła na biesa.

– Jeśli uratujesz płony, wioskę i Kałużę, to możemy dobić targu.

Diabeł aż podskoczył z zadowolenia.

– Jeśli spadnie deszcz, tak jak powiedziałem, to wrócę, a ty, babciu, oddasz mi duszę.

Kośława zaśmiała się głośno, chrypiąc, krztusząc się i klepiąc po udach z tego rozbawienia. Czort nagle poczuł się niepewnie.

– Tylko duszę? – zakpiła. – Chłopcze, co ci po takiej starej duszy? Nie będę się targować, tylko zaproponuję jeszcze coś, bo jestem uczciwa i nie pozwalam, żeby głupi ludzie sami sobie szkodzili. Jeśli spadnie deszcz, jak powiedziałeś, to przyjdź do mnie. Ale nie w dzień i nie na kolonię, bo cię jeszcze ktoś zobaczy. Przyjdź na Szeroki Ostrów po zmroku, gdy nie ma tam rybaków, a ja ci ugotuję kaszy gryczanej ze skwarkami, grzybami, ziołami i różnymi różnościami, jakich nigdy nie jadłeś.

Diabeł aż się zaślinił, widząc już w myślach ten kociołek gotowanej miękkiej kaszy z chrupiącymi skwarkami, majerankiem i borowikami, a może nawet z soczewicą.

– Mamy umowę? – Kośława wyrwała go z zadumy

Zły energicznie pokiwał głową, aż ochlapał sobie kuszulę ciekącą po brodzie śliną

– Czyli sprowadzasz deszcz, zjadasz kaszę i oddajesz ci duszę – upewniła się jeszcze.

Podali sobie ręce i diabeł zniknął, rozptylając się w chmurze cuchnącego siarką dymu.

Kośława natomiast powoli poszła w stronę swojej kolonii, a dobry humor nie opuszczał jej aż do zmroku.

Następnego dnia obudziła ją ulewa. Deszcz najpierw siekł, zrywając suche liście z drzew, kładąc bladożółte trzciny i zboża, potem zelżał. Staruszka, jak tylko wstała, szybko się umyła, wyszykowała, wyciągnęła stary, połatany parasol i wyszła z domu. Skoro diabeł dotrzymał swojej części umowy, to ona też musiała dotrzymać swojej.

We wiosce poszła najpierw do myśliwego, od którego kupiła stół dziczego smalcu, do połowy wypełniony skwarkami, na widok których żółćki wywijają fikołki. Od jego żony, która uprawiała różne zioła, a miała do tego rękę, kupiła trochę pietruszki, wonny majeranek i soczystą kolendrę. Od starego Kani wzięła worek kaszy gryczanej, bo u niego zawsze była zdrowa i bez robaków. A skoro już była we wiosce, to odwiedziła również kowala, a potem zbadała kilka dzieciaków, czy ich nie przełamało. W drodze powrotnej skręciła z polnej drogi w las poszukać grzybów.

Wieczorem przestało padać, jak gdyby diabeł chciał pokazać zielarce, że to jego piekielne sztuczki były.

O zmroku staruszka z kociołkiem wypełnionym różnościami i wiązką suchych sosnowych szczapek dotarła na Szeroki Ostrów. Głodny i zniecierpliwiony diabeł już tam czekał. Przestępował z kopyta na kopyto, gdy powoli klęknęła, rozgarnęła mokre liście i mchy, i zaczęła przygotowywać ognisko pod kociołek. Parskał i złorzeczył, gdy dokładnie odmierzala wszystkie składniki, co w nocy wcale nie było takie łatwe, bo od płomieni cienie skakały i miały wzrok. A już otwarcie protestował, kiedy rozgrzebała szczapki, żeby na zbyt dużym płomieniu kaszy nie przypalić.

– Strasznie się guzdrzesz, starucho. Ale nic to. Kasza w końcu się ugotuje, a ja zjem ją ze smakiem. Zaraz potem zabiorę ci duszę i wrócę do piekła. A im bardziej będziesz zwlekać, tym dłużej ta twoja Kałuża deszczu nie uświadczy.

– Kasza miała być dobra, to będzie dobra. Siadź wreszcie na ogonie, gówniarzu, i starszych nie pouczaj! – wrzasnęła Koślawa na czarciego młokosa, a ten zamilkł i przysiadł na pieńku.

I faktycznie, kilka minut później głosem słodszy od miodu zaprosiła wygłodniałego czarta do ogniska.

Ten nawet nie czekał, aż mu nałoży kaszy do miski, tylko od razu z łapami rzucił się do kociołka. Po pierwszym kęsie coś zachrzęściło, po drugim rozległ się odgłos, jakby ktoś kości łamał, co by szpik wyssać, a po trzecim diabeł wypłutł jedzenie i chwycił się za głowę.

– Moje zęby! – zawył ze złości i bólu tak potężnie, że aż na przeciwnym brzegu Kałuży było go słychać.

Koślawa uśmiechnięta nakładała mu porcję.

– Zgodnie z umową kasza jest smaczna i miękka, skwarki chrupiące, ziota świeże i soczyste. No i są tam takie różności, jakich nigdy nie próbowałeś, chyba że w piekle jadłeś kaszę z żużlem od kowala, z sarnimi bobkami i trującymi grzybami z uroczyska zdorskiego – żartowała zadowolona, że wykiwała piekielnika. – A teraz żryj do ostatniego ziarenka albo o mojej duszy zapomnij.

Diabeł, który zdążył już połamać prawie wszystkie zęby, tylko popatrzył z wściekłością na staruszkę.

– Jeszcze tu wrócę – zapewnił i wskoczył do jeziora.

Od tamtej pory po każdej ulewie na powierzchni jeziora wokół Szerokiego Ostrowa snuje się dym. Ludzie omijają wtedy półwysep, bo mówią, że to Koślawa gotuje kaszę biesowi, który wciąż ma chrapkę na jej duszę.

Przełom sierpnia i września jest dla mieszkańców Okartowa okresem wytężonej pracy, nie tylko z powodu kończących się już żniw, chociaż te zabierają najwięcej czasu. Dzieci przepędzają bydło na pastwiska, a potem szukają w lesie grzybów, jeżyn i malin. Kobiety zbierają w przydomowych ogródkach i dziedzicznych sadach skarłowaciałe jabłka i śliwki, rwą pomidory i ostatnie ogórki, robią dżemy, kiszonki, octy, nalewki i inne przetwory. Mężczyźni rąbią drewno na opał na całą zimę, łatają dachy, zbijają koryta, szykują sanie, reperują wozy. Rżyska pod lasami przejmują drwale i smolarze, przygotowujący mielerze do wypalania węgla drzewnego. Dołączają do nich cieśle ze swoimi narzędziami, którzy w polu wstępnie obrabiają belki i krokwie. Stuletnie budynki trzeba zabezpieczyć

przed chłodem i sztormowymi podmuchami wiatru od jeziora, dlatego potrafiący obchodzić się z drewnem mają pełne ręce roboty.

Sama wioska też wymaga pracy. Gospodarze zwożą kamienie, którymi wiejska biedota łąta dziury wybite kołami wozów i kopytami koni w wiekowej drodze. Droga była kiedyś kamienna, ale później, lata temu, przykryto ją asfaltem, który z każdym rokiem kruszeje i w sumie zostało go już niewiele. Także most z popękanego betonu co roku potrzebuje nowych podpór z pni, które są już tak gęsto ustawione, że nie da się pod nim przepłynąć nawet kajakiem. Dlatego rybacy wybudowali dwa koryta. Z jednej strony wciągają łodzie na górę i spuszczają z drugiej. To jedyny szlak między dwoma akwenami.

W bezdeszczowe dni całe rodziny wyjeżdżają o świcie na pola. Poranna mgła, kapuśniaczek lub ulewa więżą całą wieś w domach, w kuchni przy piecach i kominkach, gdzie ludzie czekają, aż po deszczu nieutwardzone drogi wyschną na tyle, żeby wozy nie utknęły w błocie. W taką pogodę cerują pościel i odzież, naprawiają sieci, wyciągają nadgryzione przez mole stare kurtki i kożuchy, często jeszcze przedwojenne. Sprzątają domy, a czasami po prostu spotykają się u kogoś na ganku i wymieniają uwagi na temat zawsze złej pogody, zawsze złego zdrowia i zawsze złych dzieci.

Poza tym trzeba polatać łodzie po całym sezonie, wzmocnić żagle przetrzepane porywistymi szkwałami, naprawić drewniane ślipy przy moście i uwę-

dzić połów, nasycając powietrze w wiosce dymem z wędzarek.

Jadąc polnymi i leśnymi drogami, mieszkańcy czasami napotykają przygarbioną staruszkę. Wolnym krokiem przemierza łąki, zagląda do otoczonych trzcina tansur stawów ukrytych w zagłębieniach pomiędzy pagórkami, przeciska się przez zarośnięte brzegi Kałuży, w skupieniu wpatruje się w leśną ściółkę. Od czasu do czasu klęka na ziemi i sprawnie wykopuje lub zrywa jakąś roślinę. Starannie otrzepuje ją z ziemi, a następnie wyciera korzeń ściereczką i ogląda listki lub kwiaty przez okulary z grubymi szklami. Wkłada zdobycz do koszyka, po czym z trudem wstaje i kontynuuje marsz. O tej porze roku szuka liści i łodyg piołunu, pokrzywy, skrzypu, kozłka, wyrywa korzenie mniszka, wykopuje czosnek, jaskółcze ziele i żywokost, zrywa owoce jałowca, dzikiej róży i głogu. Innym razem cały kosz ma pełen baldachów jagód czarnego bzu.

Kiedy do staruszki podejść bliżej lub jeżeli wiatr zawieje od jej strony, można usłyszeć, jak mruczy coś pod nosem. Niektórzy twierdzą, że po prostu gada do siebie, inni, że zaklina zioła lub przeprasza je za wyrządzoną krzywdę.

Z pełnym koszykiem kobieta wraca do swojego gospodarstwa, położonego kilka kilometrów od wioski, za sosnowym lasem, w którym gnije porośnięta mchem i trawą wojskowa ciężarówka, i za brzozowym zagajnikiem skrywającym pruski cmentarz. W domu zebrane rośliny czyści i myje, potem część wiąże w luźne pęki i wiesza na sznurze na poddaszu. Kwiaty rzu-

ca luzem na rozciągnięte pomiędzy krokwiemi prześcieradła. Niektóre owoce i łądygi zalewa spirytusem, jeszcze inne zanurza w oleju. Gotowe preparaty przelewa do butelek po wódce i piwie. Korzenie i kłącza tnie na grube plastry i nanizane na nici rozwiesza na ścianach kominka. W wiosce nazywają ją różnie: Star-sza, Wiedząca, Lekarka lub Koślawa, no i wiedźma, bo tak mówi o niej proboszcz. Jak naprawdę się nazywa, nikt nie wie. Skąd się wzięła w Okartowie? Nikt nie pamięta. Wiadomo tylko, że była tu od zawsze, może nawet od wojny.

Staruszka też czuła w kościach, że jesień zbliża się wielkimi krokami.



Michaś, najstarszy syn Staszka Kani, bimbrownika, nie lubił tej pory roku. Podobnie jak każdej innej, ale teraz akurat zbliżała się jesień, dlatego nie lubił jesieni. Uważał się za nieszczęśliwego. Znow spędział całe dnie, karnie wykonując polecenia rodziców. Nie były to polecenia bezsensowne, o nie, ale banalne. Przyziemne i bezmyślne jak młócka.

Tłukł zboże rozrzucone na klepisku w stodole, bujając w obłokach, bo przecież nie musiał skupiać uwagi na waleniu kijem. No, nie do końca, bo przecież tłukł naprzemiennie z ojcem, co wymagało synchronizacji. Rytmiczne łup, łup, łup pozwalało odpłynąć myślami gdzieś daleko. Przez to czasem uderzał w cep ojca, co opóźniało pracę. Na nowo musieli rozbijać dębowe

bijaki i po chwili rytmiczne łupanie znów rozbrzmiewało na całe gospodarstwo, przeplatając się z podobnymi odgłosami, dobiegającymi z co drugiej stodoły. Staszek już nawet nie strofował syna. Wzdychał tylko ciężko, bo co miał robić? Dzieciak był karny, posłuszny i niegłupi, to pewne, ale nieuważny i ta jego nieuwaga stanowiła nie tylko problem, lecz także zagrożenie. Jak wtedy, gdy zamiast pilnować destylatora, dłubał przy jakimś żelastwie wygrzebanym w lesie z przedwojennego pojazdu. A miał jedynie patrzeć na wskazówkę manometru i w razie potrzeby otworzyć zawór. Nawet temu zadaniu nie podołał. Wprawdzie nie odszedł od aparatury, ale znalazł sobie coś tak zajmującego, że o poleceniu po prostu zapomniał. Ręka Pańska i tarcza anielska, że nic mu się wtedy nie stało. Po tym wypadku prawie cała wieś śmiała się z chłopaka, że Staszka zresztą też. Później zaczęły się narzekania, bo nowy sprzęt nie był już tej samej jakości – wódki było mniej, a i paliła jakoś inaczej. Złość wsi skupiła się na Michale, który zaczął jeszcze częściej chodzić własnymi drogami, a z każdej wyprawy znosił pordzewiałe urządzenia, ciekawe kamyczki, jakieś rośliny.

Chłopca nie wyśmiewał tylko sołtys. Wesoły pięćdziesięciolatek często odwiedzał Staszka i czasami zagadywał Michasia z sympatią i zainteresowaniem. W swojej wiosce starał się zagospodarować każdego. Wyznawał zasadę, że skoro już Bóg zesłał do wioski kobietę lub mężczyznę, chomego lub zdrowego, starca lub dziecko, to miał w tym swój cel, a sołtysa zadaniem było ten cel odkryć. Dlatego właśnie biedota bez ziemi

lub z niewielkim nieurodzajnym poletkiem łatała drogę i zabezpieczała most za chleb, rybę lub dziczyznę. Dlatego też proboszcz na jego prośbę zbierał datki na dziecko Zarembów, kalekie, odkąd wpadło pod wóz – żeby mieszkańcy mogli być chrześcijanami nie tylko w słowie, ale i w czynie. Pomysły na sposoby zagospodarowania mieszkańców czasem nie pojawiały się od razu. Nieraz sołtys nieźle się nafrasował, zanim znalazł komuś przynależne mu miejsce. Tak też od dłuższego czasu łamał sobie głowę nad Staszkowym pierworodnym. Aż wreszcie znalazł rozwiązanie.

Któregoś wrześnieowego dnia przyszedł do Staszkowej chałupy ubrany w marynarkę, co oznaczało, że jest to wizyta urzędowa i o sprawach urzędowych będzie rozmawiał. Usiadł w kuchni, za pięknie wyszlifowanym drewnianym stołem, zwrócony plecami do rozpalonej kuchni z garem bobu na fajerce. Jednym haustem wychylił podaną przez gospodarza czarkę wódki i odstawiwszy ją, rozłożył dłonie na blacie. Dzieci Staszkowej z kuchni wygonili, ale sołtys domyślał się, że pewnie wszystkie stały za drzwiami z uszami tuż przy szparach w deskach, dlatego zamierzał być delikatny. Jak zawsze.

– Staszek, twój najstarszy chłopak nie nadaje się na rolę. Nie nadaje się do gorzelni. Rybakom czy drwalom też nie ma co go oddawać. Wiesz o tym. – Widział, jak mięśnie na żuchwie bimbrownika pulsowały, a jego twarz naprzemiennie wyrażała gniew i rozczarowanie. – Ale nie jest głupi. Kto wie, może jest mądrzejszy od nas obu razem, dlatego nie może się zmarnować – dodał.

Czekał, aż Staszek kiwnie głową, ale nie podjął tematu, dopóki gospodarz nie zorientował się, że sołtysowi zaschło w gardle. Po wypiciu porcji płynnego ognia gość na moment stracił oddech, po czym wrócił do tematu.

– No... dlatego pomyśl, czy może nie dać go na naukę na Wiedzącego. Sam wiesz, że chłopak kwiatki znosi i jakieś urządzenia, prawda? Masz tego całą szopę. To może dać go Koślawej? Ta go nauczy. Ona lubi takich zadumanych. Masz jeszcze czwórkę dzieci. Któreś się nada do przejęcia gospodarki, bo przecież nie wszystkie. A najstarszy na Wiedzącego. Jaki zaszczyt! Uczony, i to jedyny na całą wioskę, a nawet na kilka wiosek! Taki zaszczyt – powtórzył. – Będziesz miał chłopaka uczonego bardziej niż wielebny. Przecie Kośława czyta, tak?

Nie czekając na potwierdzenie, przesunął puste naczynie w stronę rozmówcy. Znów wypił gorzałkę jednym haustem i zaczerpnął ze świstem powietrza.

– To ja jutro idę do Wiedzącej. Mam twoją zgodę?

– Masz – odpowiedział Staszek bez zastanowienia.

Bimbrownik od dawna rozmyślał nad przyszłością syna. Kto wie? Może pomysł sołtysa wcale nie był taki absurdalny, skoro chłopak, gdy się zastanowić, czasem faktycznie zachowywał się jak stara lekarka z kolonii: gadał dziwnie, skupiał się na rzeczach zupełnie bez sensu. No i dużo czasu spędzał na mamrotaniu pod nosem. Po prawdzie nie gadał do siebie, ale po jego twarzy, zmarszczonych brwiach i dziwnych grymasach widać było, że usilnie nad czymś duma, że w my-

ślach rozmawia ze sobą na tematy, których może nikt we wsi nie rozumie.

Za drzwiami chłopak w napięciu chwycił każde słowo. Przyciskał ucho do starych desek, starając się zachować ostrożność, żeby nie zaskrzypiały. Słuchał z mieszaniną podniecenia i strachu. Wiedział, że sołtys ma rację, gdy mówi o nim, że nie jest głupi. Sam doszedł do tego, jak działa aparatura w warsztacie ojca. Rozwiązywał w mig zagadki Milewskiego, które tamten usłyszał w dzieciństwie od dziadka-gawędziarza. Rozmowy z mieszkającym za płotem sympatycznym staruszką były zresztą jedną z ulubionych rozrywek młodego samotnika.

Michał dostrzegał też zjawiska, które inni wokół ignorowali. Jak to jest, że gruba mucha lata na takich małych skrzydełkach, a chuda czapla musi mieć takie wielkie? Czemu psy mają taki dobry węch, a ludzie nie? Gdzie znikają gwiazdy, gdy wychodzi słońce? Zdawał też sobie sprawę, że niektórzy dorośli są głupszy od niego. Nawet ksiądz, co wydało mu się szczególnie szokujące. Odkąd pamiętał, na mszy zamiast słuchać wielebnego oglądał polichromię, wyobrażając sobie, jak wyglądało życie przed wojną, wszak kościół był przedwojenny. Z pewnym rozczarowaniem dochodził do wniosku, że wtedy ludzie żyli podobnie jak dziś. Dziwiło go, że nikt nie namalował tam obrazków przedstawiających pojazdy, które gniły w lasach, a z których wyciągał tajemnicze urządzenia. Potem w szopie lub w piwnicy rozbierał je na części, starając się odkryć ich przeznaczenie i sposób działania.

Koślawą widywał na targach – antypatyczną starszkę pomarszczoną jak suszona śliwka, która urywanymi zdaniem przepędzała wszystkich klientów i za każdym razem kłóciła się z wielebnym, mającym w starej Wiedzącej swojego umiłowanego wroga. Umiłowanego, bo stanowiła wdzięczny i niewyczerpany temat kazań i homilii. Michaś nie znał jej zbyt dobrze i chyba nie lubił. Była u nich w domu kilka razy. Kazała mu wtedy rozebrać się do samych majtek, stanąć prosto, odwrócić się i schylić najgłębiej jak potrafi, do tego zaglądała mu w zęby i uszy. Potem wieszała na ścianie izby planszę z wymalowanymi rzędami różnych obrazków, z których każdy kolejny był mniejszy. Kazała zakrywać jedno oko i zgadywać, a potem to samo z drugim. Nie wiedział, co się stanie, jeżeli nie zgadnie, dlatego starał się z całych sił. Krowa, kaczką, ryba jakaś, dzik, żuk...

Poza tym miał wrażenie, że rodzice się jej boją, przynajmniej tak to zapamiętał. Zanim przyszła, przez cały dzień sprząтали dom i obejście. Nie pamiętał szczegółów – to było tak dawno – ale stara kobieta różniła się od innych mieszkańców wioski.

Rodzeństwo patrzyło na niego z szeroko otwartymi oczami i ustami. Wiedziało, że decyzja już zapadła. Wszyscy też rozumieli jej nieodwołalność. To nie jest tak, że dzieci brata nie lubiły, ale w porównaniu z pozostałymi rówieśnikami we wsi był dziwny. Nie chciał się bawić, bo twierdził, że zabawy na podwórzu są nudne. Nie spotykał się z innymi rówieśnikami, nie psocił, tylko siedział w szopie zakopany po uszy

w zardzewiałych gratach, które pracowicie zbierał po leśnych wykrotach. Sam zainteresowany nie mógł się zdecydować, czy bardziej jest podniecony czy przestraszony. Wiedział tylko, że zostanie Wiedzącym i będzie znał czary.

1.

Dawno temu babcia mi opowiadała do snu, że przychodziła do jej matki w nocy stara baba z wielkim garbem i wytłupiałym okiem. Siadała okrakiem na piersi i zaczynała dusić. Babka mówiła, że wtedy pono nawet ręką i nogą nie można poruszać, takie robią się ciężkie. W końcu udało się jej krzyknąć: „Odejdź, zły duchu, i przynieś łyżkę na śniadanie!”. I wtedy mara znikła.

Potem rano przyszła do nich Koślarwa, a w rękę trzymała łyżkę. Wszyscy wiedzieli, że to zmora, ale i tak ją wpuścili. Prababka spytana, co taka markotna, odpowiedziała, że wie, że to czarownica przychodzi w nocy ją dusić. Koślarwa nie zniknęła tak jak powinna, ale przyłożyła gospodyni taki zimny metalowy guzik do piersi, a potem jeszcze słuchała, jak oddycha i w ogóle różne czary robiła. Dała potem takie krople magiczne, żeby nimi skrapiać poduszkę, i drugie do picia. I kazała okno na noc otwierać. A potem jeszcze zostawiła kwiaty lipy i wygoniła dzieci do lasu po jagody bzu.

Podobno potem prababkę czasem jeszcze męczyły mary, ale ja myślę, że Koślarwa jednak nie była żadną z nich.

Żadnych śladów skoliozy ani skorbutu, bo i skąd, skoro mówi, że miejscowy. Młody, chudy, na oko trzy-nasto-czternastoletni, z blond czupryną przyszczyżoną chyba zwykłym nożem wykonanym z płaskownika, podobnym do tego, który trzyma w dłoniach dla rozładowania nerwów. A widać, że jest ogromnie zdenerwowany. Zresztą te wszystkie dzieciaki przychodzące na naukę na początku są tak stremowane, jak gdyby przestępowały bramę uniwersytetu, kampusu wypełnionego ogrodami i białymi klasycystycznymi budynkami, mojej cholernej Alma Mater, która poszła w pizdu razem z resztą Warszawy. Mnie tam akurat nie było. To stało się kilka miesięcy wcześniej, zanim spotkałam Joasię. Byłam wtedy doktorantką paleobiologii, która akurat wybrała się do Popielna, gdy to wszystko pierdoliło z hukiem i znieńacka. To znaczy zapowiedzi jakieś były, ale mnie wtedy bardziej interesowała ewolucja stopy rodziny *Equidae*. Gazet nie czytałam, telewizji nie oglądałam, a w internecie szukałam artykułów raczej mało aktualnych, skoro dotyczyły plejstocenu. Inna sprawa, że dopiero wówczas po raz pierwszy miałam do czynienia z żywym koniem, nawet jeżeli był to mały konik polski, łasy na marchew i poklepywanie po szyi.

Tamto lato było cudowne. Może nie tak cudowne jak to, które właśnie się kończyło. Było trochę zbyt upalne, zbyt parne, ale dla dziewczyny wypuszczonej z betonowej miejskiej dżungli lekki szkwał od jeziora był jak orzeźwiający prysznic. To nie jest tak, że cały czas harowałam przy zwierzętach, siedziałam z nosem

w książkach i zasadniczo trzy czwarte doby poświęcałam pracy, a skąd! Jeżeli już, to siadałam z laptopem i notatkami pod drzewem, stopy wciskałam po kostki w chłodne błoto szorstkie od trzcinowego próchna i delektowałam się każdą chwilą.

To był mój ostatni urlop, ostatnie praktyki.

Pewnego dnia – to chyba była sobota, bo w porcie cumowało dużo więcej jachtów – na niebie pojawiły się samoloty i śmigłowce, drogi zablokowały czołgi i samochody terenowe, a potem horyzont zapłonął. No dobra, znów przesadzam. Nie słyszałam żadnego dźwięku. Nagle niebo po prostu zmieniło kolor. Na jasnoniebieski. Jak spokojny ocean w słoneczny dzień. To był najpiękniejszy kolor, jaki w życiu widziałam.

Później pojawili się żołnierze. Konfiskowali, co tylko się dało. Konie też próbowali zabrać, ale je obroniłam, za co zresztą zebrałam niezły wpieprz. To przez tamten cios kolbą karabinu w twarz nazywają mnie teraz Kośława. Nie kuśtykam, a przygarbienie jest raczej skutkiem wieku, nie tamtych wypadków, ale od tam mężczyźni przestali się za mną oglądać, co chyba mówi niemało.

Z powodu eksplozji na niebie pierwszego dnia stanęły wszystkie samochody w okolicy, nie licząc maluchów, nysek i innych trupciów. Te domorośli mechanicy szybko uruchomili i choć ruszały na pych, to przecież dało się jeździć. Dopiero po kilku miesiącach Asia znalazła działające ciężarówky, ale pewnie nie były stąd. Ta pierwsza nadal stoi tam, gdzie ją porzuciliśmy – w krzakach za starym tartakiem.

Podobno ten region zaatakowali ze względu na okoliczne jednostki wojskowe, składy i magazyny w Bemowie, Orzyszu i Szerokim Borze, które chcieli unieszkodliwić. Ale co ja tam wiem? Takie plotki były i Asia też tak mówiła... Unieszkodliwianie udało się całkiem nieźle, bo poza należącym do dyrektora stacji PAN samochodem, który przez całe lato smażył się w blaszanym garażu, zdechły też wszystkie komputery, telefony, telewizory, zegarki. Cały mój doktorat diabli wzięli, a to był dopiero początek i najmniejsze zmartwienie, bo jak się potem dowiedziałam, nawet nie miałabym gdzie go obronić.

Dwa dni po tych cichych eksplozjach w atmosferze podjechały ciężarówki Tatra czy jakieś inne – nie pamiętam już po tylu latach. Wysypali się z nich żołnierze, którzy natychmiast chcieli zabrać wszystkie pojazdy zdadne do użytku. Było ich trzydziestu, może więcej. Wszyscy ubrani jak na paradę, ostrzyżeni, ogoleni. Widać było, że dopiero wyjechali z jednostki. Pojawił się oficer, który czytał z listy, co chcą wziąć, i nawet zacytował jakąś ustawę. Większość pracowników ośrodka wycofała się chyłkiem, niektórzy swój sprzeciw ograniczyli do żądania przedstawienia pisemnych rozkazów, ale ja i jeszcze dwie koleżanki stanęłyśmy w obronie biednych zwierząt, które śliczni chłopcy chcieli zabrać na wojnę. Byłyśmy przerażone, konie zresztą też. Jeden z trepów, nie czekając na wynik dyskusji, nie czekając na przyjście dyrektora stacji, zaczął gramolić się przez ogrodzenie na wybieg dla zwierząt. Nie zastanawiając się, podbiegłam i chwyciłam go za

kurtkę munduru. Stracił równowagę i padł na plecy. Nic mu się nie stało, ale wszyscy wybuchnęli śmiechem. Wstał czerwony na twarzy. Starał się otrzepać mundur z błota, ale tylko roztarł je sobie na dłoniach. To od niego zarobiłam w pysk. Później wojskowy sanitariusz opatrzył mi twarz, ale niewiele mógł poradzić na złamaną kość policzkową i porażenie mięśni. W tym czasie dowodzący krzychał coś o sądzie i więzieniu, ale nie docierało to do mnie. Przynajmniej konie zostawili w spokoju. Obolała, opuchnięta od uderzenia łkałam i smarkałam naprzemiennie w oba rękawy sztormiaka. Dostałam jeszcze kwit, z którym miałam udać się do szpitala polowego. Nie zdążyłam – na niebie pojawiły się pierwsze drony.

No tak. Ja tu sobie wspominam, a chłopak z nerwów gotów zemdleć lub puścić pawia. Taksuję go wzrokiem jeszcze przez chwilę. Mrużę oczy i pochrząkuję – to doskonale buduje autorytet.

– Ojce? – pytam bez przywitania, bo przecież wciąż nie wiem, czy go zaraz nie pogonię.

– Ja Staszkowy – odpowiada ze ściśniętym gardłem.

Staszkowy? Czyli syn tego bimbrownika z Okartowa, z bogatej rodziny. Rozejrzałam się po domu, sprawdzając, co wymaga remontu, jakie sprzęty dobrze byłoby już wymienić. Oczywiście, chłopaka skierował tu sołtys, który odwiedził mnie wczoraj. Od lat przychodzi i miętosząc w dłoniach czapkę, żali się, że Wiedząca stara, byle przeziębienie i zaraz wioska zostanie bez opieki. Źle, że kolejnych uczniów odsyłam, a przecież niegłupich. Może i niegłupich, ale leni i krnąbr-

nych. Rodzice im do głów nakładli, że jakimiś czarownikami zostaną, a gdy ci się zorientowali, że moja chałupa to nie Hogwart, a Kośława to nie Dumbledore i że nauka magii polega na wybijaniu pomysłów o magii z głowy, to się zniechęcali i rezygnowali. Pamiętam tego ostatniego – jak on się nazywał? No, nie do końca rezygnowali. Zawsze zdążyłam ich wcześniej odesłać. W końcu decyzja należy do mnie.

A sołtysowi też nie chodziło o jedną wioskę, bo lecę cały powiat. To znaczy w przybliżeniu teren, który kiedyś był powiatem, a nawet większy, bo czasem przyjeżdża pacjent ze zrujnowanych Mikołajek lub odległego Kolna, jeżeli się przebił przez wszystkie zbójckie myta. Kilka razy trafił się nawet ktoś z Ukty – łodzią przepłynął pod prąd. Ale dzięki tym wizytom z daleka wiocha ma pieniądze z noclegów i wyszynku, bo leży najbliżej mojej kolonii. Nie żałuję gospodarzom, którzy wyłożone sianem kawałki podłogi sprzedają na godziny za tuzin jajek, a posiłki za żywą gotówkę, ale przynajmniej mogliby nie nazywać tego „agroturystyką”. Może nie rozumieją znaczenia tego słowa? No przecież, że nie rozumieją, ale ja nie zamierzam walczyć z żywym organizmem, jakim jest język.

Wcale się sołtysowi nie dziwiłam, że taki troskliwy, ale mnie wkurza, bo stary złamas mógłby od czasu do czasu przyjść pogadać o pogodzie, pochwalić się, że ziemniaki obrodziły, herbatkę z dziurawca lub miętę wypić, a nawet zadawać te wkurzające pytania o wojnę, a nie pierdolić, że zaraz mam się kłaść do grobu. Ale mimo wszystko lubiłam chłopą. Szanowałam nawet.

Miał naturalną zdolność gaszenia konfliktów. Kto wie, czy jego nieobecność nie skończyłaby się małą wojną między chłopkami? Czasem wydawało mi się, że sołtys, mimo swoich wad, był wiosce bardziej potrzebny niż stara Kośława.

– Ojce ludzi wódką trują – nie spytałam i nie stwierdziłam. Coś pomiędzy, żeby wy badać chłopaka. – Kartoflówka ojca to straszne gówno. Truje tym ludzi, a potem przychodzą do mnie, że ich w prawym boku kłuje. I kto mi za to zapłaci? Ostropest w tym klimacie nie rośnie byle gdzie. Nachodzić się trzeba.

– Ojce zapłacą – odpowiedział od razu, jeszcze bledszy, nawet jeżeli wydawało to się niemożliwe. – Ojce na nalewki przesyłają spirytus. Dziesięć razy destylowany.

Nastolatek sięgnął do plecaka i wyjął pięciolitrowe wiadro po farbie. To się stary machnął, nie ma co. Skinieniem głowy pokazałam, gdzie ma odłożyć wiaderko. Posłusznie postawił je na blacie starej szafki, którą zgarnęliśmy dekady temu z jakiegoś pensjonatu.

Przez chwilę milczałam, niby się zastanawiając. Coś mnie w tym dzieciaku niepokoiło. Próbowałam sobie przypomnieć, skąd go znam, z jakim zdarzeniem mi się kojarzy. Owszem, jestem pewna, że go spotkałam, gdy jeszcze prowadziłam badania okresowe wszystkich dzieci w wiosce, ale ten brak pamięci do nazwisk i twarzy...

– Od jutra zaczniesz naukę – oznajmiłam dokładnie tymi samymi słowy, co kilkunastu poprzednim uczniom. – Nauczysz się liczyć i czytać, a potem się zobaczy.

– Czytać? – Oczywiście chłopaka wypełniły się blaskiem, jakiego nie widziałam od dawna. Czyżby sołtys znalazł wreszcie odpowiedniego kandydata?

– Tak. Teraz nikt nie czyta, chociaż książki można znaleźć w każdym gruzowisku. Rozpalają nimi w kominkach i podcierają nimi dupy. Nauczysz się czytać i pisać. Jeżeli nie chcesz, to wynocha i znajdę sobie kogoś lepszego. Albo nikogo nie znajdę, bo nie szukam.

– Ale ja bardzo chcę! – Wykazywał taki entuzjazm, że poczułam ukłucie zazdrości. Tak właśnie objawiała się młodość.

– Dobrze. Jutro cię sprawdzę, czy nie jesteś głupi, a potem będziemy cię uczyć. Jak cię zwą? – spytałam.

– Młody Staszkowy.

– Ale imię jakieś masz? Twoje, a nie ojca?

– Michaś... To znaczy Michał – odpowiedział, czerwieniejąc na twarzy. – Matka mnie czasem nazywa Michaś.

– To dla mnie też będziesz Michaś, a dla ludzi Michał. Teraz spać – poleciłam.

Oczywiście nie zamierzałam mu robić miejsca w domu, o nie. W kurniku przylegającym do stajni od pięćdziesięciu lat nie było drobiu, a jakiś czas temu dobrze go ociepliłam, więc przy odrobinie dobrej woli można było uznać, że to altana gościnna, *chambre d'hôtes*, schronienie dla podróżnych, chorych i kuracjuszy, którzy najczęściej docierali do mnie wieczorem. Nie było tam źle czy niewygodnie. Miejscowym nie przeszkadzał zapach zwierząt, szczególnie zimą, gdy ich ciepło ratowało nawet gorączkujących. Poza

tym wstawiałam tam koksownik, który przy mikroskopijnym okienku i obitych drzwiach w dwie godziny robił z kurnika saunę. Niewielu gości nocowało tu zimą, bo do kolonii dotrzeć można było wyłącznie przez zasypaną śniegiem, zamarzniętą Kałużę, a przy odwilży rozmokniętą drogą. Po obfitych opadach nawet sanie potrafiły ugrzęznąć w nawianych z pola zaspach śniegu.

Poza tym, jeżeli komuś się nie podobało, to nikt tu nikogo na siłę nie trzymał. Zawsze mogli się wynieść.

Tak jakoś utarło się przez te wszystkie lata, że do Koślawej trzeba przyjść wieczorem, wtedy przez całą noc będzie rozmawiała z duchami, a rano już człek będzie zdrowy. To oczywiście nie jest prawda. Nie jestem lekarzem, mimo że mam te pięćdziesiąt lat praktyki. Przynajmniej na początku nie byłam. Gdy przychodził chory, to ja po prostu siadałam do książek i szukałam objawów, diagnozy, leczenia. Bo wtedy, gdy zaczynałam pomagać, prawdziwych lekarzy już od kilku lat praktycznie nie było. Nie po Drugiej Fali, której nawet Asia nie przetrwała, choć była taka twarda.

– Będziesz spał w kurniku. Głodnyś? – spytałam jeszcze z wrodzonej dobroci serca, chociaż po takim odpływie adrenaliny zapewne surowego jajka by nie przełknął. Pokręcił głową.

– Ja sobie jeszcze zjem okonka, a ty zmykaj do kurnika.

Chłopak sięgnął po ogromny jutowy worek i wyskoczył jak z procy, o mało nie nadziewając się na poroże jelenia w przedsionku, które od dawna służyło mi

za wieszak na płaszcze i parasolki. Kiedy ja ostatnio widziałam parasolkę?

Sięgnęłam po talerz z prawie niewidocznym znakiem PTTK, nałożyłam sobie dwa okonki i kromkę chleba, żeby się nie udławić ością. Do fajansowego kubka z logo którejś z dawnych restauracji z drugiej strony Kałuży nalałam z dzbanka zimny już napar z szałwii. Całą tę ucztę zaniiosłam do kominka, na którym płomienie radośnie tańczyły po ściankach żeliwnego kociołka.

– Michaś – powtórzyłam imię chłopaka.

Może faktycznie coś z niego będzie? Jedząc, układałam w głowie konspekt lekcji. Stara, niepotrzebna przez tyle lat wiedza, którą pozwoiliłam sobie wtłoczyć, gdy jeszcze marzyłam o zawodzie nauczycielki. To było zanim w trakcie pierwszych praktyk stanęłam naprzeciw ucznióm, którzy w ciągu czterech tygodni naiwne marzenia studentki wdeptali w ziemię, ale wcześniej porządnie je skatowali. Z odmętów pamięci wydłubywałam mimowolnie zapomniane teorie nauczania, nurty w psychologii rozwojowej i nagle ze smutkiem stwierdziłam, że mogę nie zdążyć. Sołtys miał rację, że w tym wieku wystarczy zwykłe przeziębienie, że każda kolejna słota może być ostatnia. Nadal trzymałam się nieźle mimo tych ośmiu ciążyących krzyżyków. Dbałam o siebie. Chociaż artretyzm dokuczał mi czasem niemiłosiernie i coraz bliżej był dzień, kiedy nie zdążę do wychodka, okulary ze szklami jak denka od słoików już nie wystarczały, a głowa nie pracowała tak dobrze jak kiedyś, w cieple i suche

dni czułam się, jakbym miała najwyżej sześćdziesiątkę. Niektórzy okartowscy twierdzili co prawda, że mam przynajmniej sto lat, ale to był raczej szacunek dla mojej wiedzy i doświadczenia.

Powoli poszłam do sypialni na piętrze, do budowanego przez lata legowiska, składającego się z materaca z Gołębiewskiego, na którym z każdym rokiem przybywało pledów, kożuchów i skór przynoszonych przez pacjentów. Położyłam się na wznak, kokosząc się jeszcze przez chwilę, żeby żaden staw nie wystawał spod kołdry. Po tej gimnastyce wyciszyłam się, spowolniłam oddech, starając się ignorować nieznosny o tej godzinie ból stawów. Zasypiałam kołysana szumem wiatru, szelestem opadających liści, wsłuchując się w basowe ryczenie jeleni – zwiastunów jesieni. Kolejnym znakiem miały być nawołujące się żurawie, ale to dopiero za kilka tygodni. Dziś niech mi jelenie wyryczą dobre sny.

Znowu śniłam, że jestem w piwnicy, wilgotnej i chłodnej, w której do pojedynczych komórek prowadzą drzwi z nieheblowanych żywicznych desek, czasem podbitych płytą. Był to prawdziwy skarbiec przetworów, które pozwoliły mi przetrwać zimą, rupieciarnia pełna rowerów blokujących każdy skrawek wolnej przestrzeni i szaf wypełnionych starymi ubraniami, wędkami, deskorolkami i cholera wie czym jeszcze. I te okna – mikroskopijne, na poziomie ziemi, okrutnie brudne, przesłonięte pajęczynami, czasem zakryte kartonami, jeszcze inne uchylone, żeby koty miały schronienie. Pod sufitem biegły rury centralnego ogrzewania, opatulone watą mineralną utrzymywaną

w kupie przez cienki pancerz z gipsu. Tygodnie nudy, tygodnie strachu. Wtedy, w czasie Drugiej Fali, spędziłam tam kilka miesięcy. Spokojnych i względnie sytych miesięcy. Czemu śniłam o piwnicach? Nie wiem, ale za każdym razem były to koszmary. Znacznie gorsze niż tamta rzeczywistość.

2.

Zaraz po wojnie, zanim przyszedł ksiądz Marek, to tutaj żyli strasznie chciwe ludzie. Zajęli domy i wzięli się od razu za obrabianie ziemi, a maszyny mieli jeszcze przedwojenne, sprawne, więc robota szła szybko. I tak postanowili najpierw posadzić kartofle. Każdy z tych gospodarzy, jak już wykopał pierwszą dziurę, to na dnie znalazł złotą monetę. Ale to każdy. Wieczorem się spotkali i wspólnie dziwili, skąd się takie skarby tam wzięły, i to po równo rozdzielone. Każdy oczywiście cały dzień kopał, czy więcej złota gdzieś nie ma.

Następnego dnia wrócili sadzić, bo złoto złotem, ale żreć się go nie da. I znowu każdy wykopał dziurę, a tam na dnie już dwie złote monety. No i wiadomo, że tego dnia też nikt nie sadził kartofli. Trzeciego dnia gospodarze w pierwszej wykopanej dziurze znaleźli trzy monety każdy. Teraz to już co bardziej bystrzy zaczęli sobie kombinować, że tego dnia nic więcej nie wykopią, i w końcu zajęli się tym, co mieli robić.

Ale to jeszcze nie koniec. Bo jeden chłop, Kalinowski, zaczął się zastanawiać, skąd te pieniądze się w ziemi biorą.

Nikt nie miał tyle złota, żeby je rozdawać, i to w taki dziwny sposób, więc tu pewnie chodziło jakieś sztuczki diabła. Niewiele myśląc, wieczorem zakradł się w krzaki rosnące obok jego pola, tam położył się na ziemi, obsypał trochę sianem i czekał. Zapadła noc, a chłop nadal wytrwale w tym schowku siedział. Dopiero o północy z krecich nor wyszła grupa małych ludzików, takich może do kolan. Każdy z nich ubrany w ładne dresy, z tyżką na ramieniu. Bez pośpiechu wykopali dziurę, wsadzili tam cztery pieniądze i ponownie zakopali, ale tak równo, że nawet ślad nie został. Po wszystkim maluchy wlażyły z powrotem pod ziemię.

Następnego dnia, zanim ludzie ruszyli na pole, Kalinowski opowiedział o tym, co widział w nocy. Najpierw mu nie uwierzyli, dlatego zaprowadził ich na miejsce i wykopał cztery monety. Wtedy to nadal mu nie wierzyli, bo przecież codziennie każdy co łopatę w ziemi zanurzył, to trafiał na złoto. Dlatego wieczorem aż czterech okartowskich zaczął się pod krzakiem. Tylko czterech, bo to były małe zarośla i by bokami wystawali.

No ale rano, jak już czterech gospodarzy zeznało tak samo, to w końcu wszyscy uwierzyli, że to takie malce złoto przynoszą. Był nawet jeden, co wyjaśnił, że babka mu opowiadała o podziomkach i że to pewnie one złoto podrzucają.

I mogliby sobie dobrze z tymi podziomkami żyć, co nie? Ano nie. Ktoś rzucił pomysł, żeby te podziomki złapać i wypytać, gdzie trzymają całe złoto, a nie tak po kilka pieniążków, które przecie trzeba jeszcze wykopać. Tak też i zrobili. W nocy z kocami, kołdrami i sieciami rzucili się

na podziomki i dawaj je do klatki, i pytać „gdzie jest złoto, gdzie jest złoto”. No, tylko że te malce to mazurskie były, więc gadały trochę po polsku, trochę po niemiecku, a pewnie też i trochę po żydowsku. Zasadniczo to powtarzały, że takiego wala. I tak było do świtu, bo wraz z pierwszą rosą wszystkie się rozpuływały, no zniknęły po prostu i tyle ich chłopci widzieli.

Oczywiście złota już więcej nie znaleźli. Potem, jesienią, jak już się zaczęły wykopki, to choć wszystkie kartoflane rośliny pięknie wyrosły, w ziemi nie było ani jednej bulwy – tylko kamienie. Tak samo puste były kłosa żyta, a nawet pestki słoneczników. Same skorupy! Głód nastat taki, że niektórzy pomarli, a pozostali wyjechali, żeby się od podziomkowej klątwy uwolnić. I dopiero następnego lata przybyli ze świata gospodarze, których rodziny żyją tu do dziś.

Pobudka była jak zwykle bolesna. Tyle lat w wilgoci i zimnie stopniowo wżera się w stawy, dlatego pewnego dnia po prostu się nie podniosę. Tak, marzy mi się śmierć w łóżku. Nie taka jak Asi, o nie! Nie chcę kaszleć krwią, walczyć o każdy oddech! Chcę po prostu pewnego dnia się nie obudzić. Niech chociaż tyle mam od życia. Na razie jednak wstaję. Najpierw gimnastykuję zziębnięte dłonie, jeżeli przypadkiem we śnie wydobędę się spod pierzyny, potem kark i nogi. Ziewam przy tym strasznie. Po tej rozgrzewce zaciskam zęby i wstaję szybko. Boli może bardziej, ale przynajmniej nabieram takiego rozpędu, że w połowie czynności się nie rozmyślę.

Zakładam grube wełniane skarpety sięgające kolan, potem gumowce, trochę już przetarte tu i ówdzie, ale i tak chodzę w nich tylko po domu. Piję łyk wody z kubka stojącego na parapecie obok skrzynki z aloesem. Resztą płynu podlewam roślinę, oczywiście jeżeli nie wypiję wszystkiego. Chwast trzyma się przy życiu, a nawet rozmnaża. To mój najlepszy lek na poparzenia. Sięgam po leżące obok okulary. Ciągłe zesztywniała, stopień po stopniu schodzę na parter. Resztki żaru z wczorajszego ognia obsypuję delikatnie suchym igliwem i sianem z leśnych traw o cienkich źdźbłach. Jeszcze trochę kory brzozonej i można już kłaść pierwsze sosnowe szczapki. Przez chwilę pilnuję ognia, sprawdzam, czy wody w kociołku wystarczy do umycia się, i wychodzę tylnymi drzwiami prowadzącymi na podwórze, otoczone z czterech stron budynkami w różnym stadium rozkładu. Gospodarstwo, jeszcze przedwojenne, to znaczy sprzed jeszcze poprzedniej wojny, zajęłyśmy prawie pół wieku temu, gdy Asia miała pewność, że jest bezpieczne, wolne od zarazy, dronów i trucizn.

Kiedys całość była zapewne zamkniętym kwadratem z wewnętrznym dziedzińcem. Dom z drzwiami po obu stronach leży na osi wschód-zachód. Od frontu pod same drzwi podchodzą drzewa, zarastające otoczony płotkiem ogródek czy raczej owalny klombik z dwiema sosnami i łańcuszkiem dogorywających jałowców, do którego nie zaglądałam od lat. Teraz jest na nim cmentarzyk. Tylne drzwi, jedyne, z których korzystam, wychodzą na podwórze. Ściany mają kolor

brudnej cegły, ale pod samym dachem wisi jeszcze kilka płatów żółtego tynku, który zerwałam, gdy zaczął pękać i podchodzić wodą.

Naprzeciw domu stoi stodoła, zbudowana z pocherniałych ze starości desek z dziurami na przestrzał, z jednym tylko skrzydłem drzwi. Drugie wypadły z zawiasów wiele lat temu i skończyły w kominku. Dach zapadł się do połowy jeszcze przed moim przybyciem i tak się zatrzymał, widać niegotowy do ostatecznego zawalenia. Czasem tylko po większej burzy znajduję na ziemi kilka dachówek. Najważniejsze, że prawie połowa stodoły nadal nieźle się trzyma, więc miejsca na siano dla koni i kozy starczy aż nadto.

Po przejściu na drugą stronę stodoły widać las za odległą drogą, która najpierw biegnie równoległe do gospodarstwa, a następnie skręca, tak że szerokim łukiem dochodzi do frontu domu. Zaniebane pola i pastwiska porastają pojedyncze sosny, świerki i brzozy. Las wdziera się z każdym rokiem coraz dalej w łąkę. Łąkę, bo uprawę pola odpuściłam sobie po latach nieudanych a pracochłonnych prób. Nie była to tylko moja wina. Winne były raczej cholerne rośliny GMO, które owocowały bezpłodnymi ziarnami i nasionami. Nawet z bulw ziemniaków rosły jakieś koszmaki – karłowate krzewy bez kwiatów, ze zdrewniałymi bulwami. Przez pierwszych kilka lat po wojnie nie tylko ja głodowałam. Dopiero potem pierwsi przyjezdni handlarze przywieźli ze sobą ziarno siewne. Uprawy chorowały, pleśniały, z czasem pojawił się sporysz, ale przynajmniej było co jeść.

Z każdym kolejnym latem na dawnym kartoflisku przybywa traw i ziół, przepiórek i bażantów. Zacienione przez drzewa odcinki drogi zarasta babka, a wieczną kałużę na środku pola pomiędzy gospodarstwem a lasem przejmują mniszek lekarski i siedmiopalecznik, który zbierałam i suszyłam, bo podobno dobry na reumatyzm. Podobno.

Na prawo od tylnego wyjścia z domu stoi solidna obórka z kamieni i cegieł, z małymi okienkami i równie małymi drzwiami po jednej stronie, tej od podwórza, i z dużą bramą po przeciwnej, wychodzącej na ogrodzone pastwisko. Ma pięterko, na którym trzymam część książek i gratów. Połączona jest z domem niskim, ale solidnym murem, dlatego na front domu można przejść tylko z jednej jego strony. Mur kiedyś był wyższy, ale potrzebowałam cegieł do wyłożenia kanału dymowego wędzarki. Wędzarki też już nie używam. W obórce mieszkają dwa koniki – Thelma i Louise – oraz koza, której dałam na imię Głupia. To cały mój inwentarz. Rolniczka zawsze była ze mnie marna. Kotów nigdy się nie dorobiłam, a psy albo mnie denerwowały szczekaniem, albo były zbyt przyjaźnie nastawione, żeby warto je było trzymać w domu. Część obórki poprzedni właściciel przeznaczył na kurnik. Ja nie mam kur, dlatego pomieszczenie najpierw długo stało puste, a gdy zaczęli pojawiać się pacjenci, których nie chciałam trzymać w domu, powoli przerobiłam kurnik na gościnną sypialnię. Teraz nocował tam nowy uczeń. Jak on się nazywa? Nigdy nie miałam pamięci do imion.

Od tylnej ściany obórki, przez środek ogrodzonego pastwiska i dalej, do samego brzegu Kałuży, prowadzi wąska dróżka wyłożona kamieniami. Nad wodę nie chodzę. Brzeg przejęły trzciny, olchy, pokrzywy i niezapominajki, a i wcześniej dostęp do wody był utrudniony przez szeroki pas tataraku i innego zieliska. Pozostał niewielki prześwit pomiędzy drzewami i krzewami, przez który widać powierzchnię wody lub lodu, a z rzadka rybaków na różnych plastikowych wynalazkach przerobionych z turystycznych jachtów. Jeden taki kadłub leży w zagajniku przed zejściem na brzeg, odwrócony do góry dnem. Urzędują w nim nor-ki lub inne zwierzęta.

Po lewej, na tyłach domu, znajdują się szczątki muru, a może ściany z kamienia. Jak popatrzeć na inne gospodarstwa w okolicy, to pewnie kiedyś był tu chlewik. Kawałek dalej założyłam zaniedbany teraz ogródek ze studnią pośrodku, regularnie tratowany przez Głupią. Nie udało mi się w nim wyhodować nawet ziół czy pomidorów, choć specjalnie dla nich urządziłam kiedyś małą szklarnię, od lat straszącą rdzewiejącym szkieletem i zębami wybitych szyb. Pierwsze szyby potłukły się już kilka dni po ich wstawieniu, jakieś czterdzieści dwa, może czterdzieści pięć lat temu. Wtedy jeszcze nie wiedziałam, w którą stronę spadają dachówki ze stodoły. A o szyby z każdym rokiem coraz trudniej, są coraz droższe, choć nie porzuciłam jeszcze nadziei, że kiedyś uda mi się oszkląć całe to ustrojstwo. Nawet nie chodzi o to, żeby tam coś uprawiać, ale raczej zaprezentować

odwiedzającym tę konstrukcję jako reklamę moich zielarskich umiejętności i kompetencji.

Po tamtej stronie, pomiędzy domem a szklarenką, biegnie druga kamienna droga, główny szlak prowadzący do gospodarstwa. Skręca zaraz po wyjściu za murek i łączy się pod lasem z piaszczystą ścieżką wiodącą do wioski.

Spojrzałam na drzwi kurnika. Były otwarte, czyli chłopak już gdzieś wyszedł, bo raczej nie spał przy tym wietrze z drzwiami na oścież. Rozejrzałam się, ale go nie dostrzegłam. Za to zobaczyłam innego chłopaka, syna wdowy Janki, który pomagał za wyleczenie zapalenia płuc. Nie był specjalnie bystry ani silny, ale Janka nie miała czym zapłacić. W zasadzie to chyba chłopak przy okazji podkrażał mi jedzenie dla siebie, matki i siostry. Dopóki nie przesadzał, nie zamierzałam mu zwracać uwagi. Nie kopie się leżącego.

– Ej, ty! – krzyknęłam i powoli poszłam w jego kierunku. Przychodził tu od sześciu tygodni, a ja nadal nie potrafiłam zapamiętać jego imienia. Rzucił głowę w jedną i w drugą stronę, jakby szukał drogi ucieczki. – Jesteś wolny. Powiedz matce, że wszystko spłacone. Sołtys będzie miał dla ciebie robotę. Pozdrów matkę i uściskaj siostrę. I jeszcze jedno. Jak tylko dojdiesz do wioski, przyślij mi tutaj Staszka bimbrownika. Powiedz mu, że syn na razie zostanie i że musimy się rozliczyć.

– Dzień dobry – usłyszałam.

Nowy uczeń szedł żwawym krokiem, z mokrymi włosami i ręcznikiem na ramieniu. Dziwne. Higiena tutaj nie była szczególnie popularna.

– Dobry. Gdzie byłeś? – spytałam życzliwym, ale zdecydowanym tonem, jednocześnie gestem odsyłając syna Janki.

Dotychczasowy parobek skinął głową i poszedł do stodoły po swoje kłamoty. Proponowałam mu kurnik na nocleg, ale on wolał spać w stogu siana.

– Kąpać się w strumieniu.

Ha, strumieniu. Rów melioracyjny, nie żaden strumień.

– Następnym razem myj się w wodzie ze studni lub w Kałuży. Nie wiadomo, co ludzie wrzucają do rzek – upomniałam, jak zresztą od lat upominam wszystkich, bo bakterie kałowe są wszędzie, a najwięcej właśnie w tych małych strumyczkach, które zawsze w którymś miejscu przebiegają obok wychodka. – Nakarm konie i kozę, a potem przyjdź pomóc mi przy śniadaniu. Będziesz mi pomagał, a ja będę cię uczyć. To chyba uczciwa wymiana. Jeżeli będziesz coś naprawiał, to materiały da twój ojciec. Z ojcem się jeszcze muszę rozliczyć.

Podszedł i wyciągnął rękę.

– Zgoda – potwierdził, ściskając mi dłoń. Trochę za mocno. – Zwierzęta nakarmiłem przed kąpielą.

To było miłe, ale nie dałam tego po sobie poznać. Może faktycznie tym razem sołtys dobrze trafił? Chłopak zniknął w kurniku, a ja wróciłam do domu. Ze spiżarki wyjęłam jajka, wędzoną rybę, chleb i kaszę. Rozejrzałam się za kawą. Nadal nie pozbyłam się tego nawyku, mimo że od wieków kawy – tej normalnej, a nie świństwa z żołądździ – na oczy nie widziałam. Zastanawiałam się kiedyś, czy sterylne próżniowe

opakowania, w jakich sprzedawano kawę przed wojną, pozwoliłyby jej przetrwać kilkadziesiąt lat? Kiedyś pojawiały się doniesienia o puszkach i konserwach z czasów drugiej wojny światowej, które jeszcze po roku dwutysięcznym smakowały jak świeże, mimo mocno przekroczonego terminu. Na myśl o konserwie ślina napłynęła mi do ust. Tego odruchu też już się chyba nie pozbędę.

– Jak było przed wojną? – spytał Michaś, żując chleb. To pytanie zawsze w którymś momencie musiało paść i najczęściej padało jako pierwsze albo co najmniej w pierwszej dziesiątce.

– Inaczej. Wszędzie było pełno wszystkiego, tylko czasu nie starczało, żeby tego spróbować.

Najwyraźniej nie rozumiał, a ja nie zamierzałam spędzić całego dnia na melancholijnych wspominkach. Wróciłam do jedzenia, a Michaś, gdy się zorientował, że nie dodam nic więcej, zmienił temat.

– I to prawda, że wtedy ludzie żyli sto lat?

– Ludzie zawsze żyli sto lat. Tales z Miletu podobno żył sto lat, i to w czasach, gdy średnio ludzie umierali około trzydziestki. Przed wojną żyli dłużej, ale to raczej zasługa medycyny, higieny, żywności. Dlatego też byli wyżsi.

– To kiedyś byłaś wyższa?

Roześmiałam się, bo rozmowa przypominała boksowanie się z sześciolatkiem.

– Tak, byłam wyższa, bo teraz chodzę zgarbiona, ale przeciętnie ludzie rośli wyżsi, bo lepiej się odżywiali i żyli w lepszych warunkach, nie chorowali tyle

w dzieciństwie. Gdybyś żył przed wojną, to pewnie miałbyś jakieś dziesięć centymetrów więcej niż masz teraz. Chociaż i tak ułomkiem nie jesteś. – Puściłam do niego oko. – Powiedz, czy rodzice uczyli cię czytania, liczenia? Liczenia pewnie tak, bo ojciec podobno targuje się jak mało kto.

Przytaknął.

– Ojce nauczyli mnie pisania liczeb.

– Liczb – poprawiłam.

– ... liczb. Umiem dodawać i mnożyć.

– Trzy razy siedem? – strzeliłam z zaskoczenia.

– Dwajścia jeden – odpowiedział bez namysłu. Dobrze i to, pomyślałam.

– A pisać?

Chłopak się zarumienił.

– Pisać nie. Ojce tylko obrazki robią, jak zapisują dłużników, towary i tak dalej.

– To zaczniemy od pisania. Gdybym nagle umarła, to będziesz wtedy mógł uczyć się sam.

– Z tych książek, co są w obórcie? – spytał i natychmiast zamilkł, rumieniąc się i spuszcżając wzrok.

Najwyraźniej rankiem myszkował po poddaszu. Miałam nadzieję, że nie narobił bałaganu.

– Tak, i nie tylko z tych. Niektóre z tych książek czyta się dla przyjemności, inne są podręcznikami, czyli zawierają praktycznie samą wiedzę. Poza tym będziesz notował, co ci powiem, bo pamięć bywa zawodna.

– Ale ja mam dobrą pamięć! – zaprotestował.

– A jaką masz pewność, że nauczysz się składu jakiegoś leku lub jakiejś receptury, nie będziesz ich uży-

wał przez dwadzieścia lat, a potem sobie przypomnisz, kiedy będą ci potrzebne? Pamiętasz, ile dwa lata temu kosztowało podgardle dzika?

– Tak. Dziesięć złotych u Milewskiego, a u Drawskiego dwanaście, bo zawsze miał lepsze na skwarki.

– A siedem lat temu?

– Siedem lat temu to ja byłem za mały, żeby pamiętać.

– A za dwadzieścia będziesz za stary i robaki mózg ci zjedzą. Będziesz pisał albo wynocha! – Ucięłam temat.

– A to, co mi powiesz o wojnie i o świecie przed wojną, to też mogę pisać?

Zaskoczył mnie tym pytaniem.

– Tak, ale nie wolno ci publikować bez autoryzacji – zażartowałam.

Wsunęłam do ust ostatni kęs chleba i otrzepałam palce. Chłopak skończył posiłek już jakiś czas wcześniej.

– Weź gorącą wodę z kociołka i wrzuć do niej naczynia. Zresztą poczekaj.

Wstałam i gestem poleciłam, żeby poszedł za mną. Nikogo nie dopuszczam do kuchni, więc jeżeli już ktoś ma mi w niej pomagać, musi najpierw nauczyć się, co odkażać temperaturą, a co spirytusem.

Po zmywaniu doszło do pierwszej scysji. W sumie z mojej winy, bo chłopak po prostu chciał dobrze. Gdy ja poszłam szukać ostatnich ziół, które jeszcze nie zwiędły od jesiennych chłódów, Michaś wyszorował całą kuchnię. Ale to calusieńką: podłogi, kominek,

półki i szafki. Szklęm oskrobał kociołek i przepłukał zakurzone filiżanki, których nie używałam od wieków, bo do czego? Na koniec wymyśli i wyparzył słoiki z pleśnią hodowaną na penicylinę. Dobre szczepy, z których leki były skuteczne.

– Przecież to pleśń. – Bronił się, kiedy mu zmyłam głowę. – Kazałaś mi dbać o czystość, to czyszczę.

Musiałam mu przyznać rację. Jak miał dzieciak zrozumieć, że z jednej strony ludzie karleją od brudu, a z drugiej brud jest potrzebny przy leczeniu?

– Następnym razem pytaj. Te skórki chleba – powiedziałam, wskazując palcem pięknie wyszorowane słoiki – były moim najlepszym lekarstwem. Były niezastąpione.

Milczeliśmy, stojąc naprzeciw siebie. Trybiki w mojej głowie już pracowały nad planem szybkiego odzyskania hodowli, a Michaś... Wydaje mi się, że nie bardzo wiedział, co ma zrobić. Wodził tylko wzrokiem po rogach sufitu, zapewne w poszukiwaniu pajęczyn. Czyżby pajęczyny też zamierzał zniszczyć?

– Nie rzucisz na mnie klątwy? – spytał w końcu tak cicho, że dopiero po chwili dotarło do mnie jego pytanie.

– Przynajmniej pajęczyn nie ruszaj. – Westchnęłam ciężko.

Chciałam jeszcze coś dodać, może zakląć, zrezygnowana, ale zabrakło mi słów. Odwróciłam się i wyszłam.

Problem pleśni rozwiązałam dosyć szybko, choć nie bez pomocy ucznia. Pozostałymi ze śniadania krom-

kami chleba kazałam mu pocierać sufit i ściany w miejscach, których nie mył, a ja w tym czasie nieudolnie trzymałam chybotały taboret. Chłopak nie spadł, nie kopnął mnie w kośćlawą twarz, a zadanie wykonał. Trochę czasu zajęło mi tłumaczenie, że pleśń jest jak grzyb i że purchawki, i że zarodniki, i że wydzielane przez pleśnie i grzyby substancje, i tak dalej. Pewnie nie zrozumiał nawet połowy słów, których użyłam. Oboje musieliśmy się dużo nauczyć. Dlatego nie zamierzałam marnować więcej czasu.

Na „klasę” przeznaczyłam pokój zajmujący prawe skrzydło domu, do którego wchodzi się przez kuchnię. Dotąd pełnił on funkcję biblioteki. Na parterze są jeszcze dwa pomieszczenia, nie licząc korytarza, który łączy dwa przedsionki przy obu wyjściach. W lewym skrzydle mam jeszcze dwa pokoje, z których większy to moja pracownia lub, jak kto woli, laboratorium alchemiczne, a drugi jest podręcznym składzikiem na różne niepotrzebne graty. Te potrzebne trzymam pod schodami prowadzącymi na piętro. Na górze są tylko dwa pokoje ze skosami i małymi okienkami w ścianach szczytowych, niskie, ciasne i ciemne, dlatego w jednym z nich urządziłam swoją sypialnię, a drugiego praktycznie nie używam, chyba że do suszenia ziół. Schody prowadzące na piętro są zbyt strome i niewygodne, żeby po nich wchodzić częściej niż raz dziennie. Z biblioteki też nie korzystam zbyt często. Cały księgozbiór znam praktycznie na pamięć, a na czytanie dla przyjemności wzrok od dawna nie pozwala. Muszę go oszczędzać na przeszukiwanie w razie konieczności notatek lub książ-

żek medycznych. Poza tym pomieszczenie wychodzi na południe, więc latem jest w nim po prostu za gorąco, z kolei zimą i w chłodniejsze dni, jak ostatnio, za zimno. Nie ma tam pieca, choć ślad po nim zachował się w postaci nierówności pod bladozieloną farbą.

Michaś przez cały dzień dźwigał skrzynie z książkami i ustawiał w stosy, a ja podpisywałam je węglem. Już w połowie sprzątanía było wiadomo, że zmieściłoby się tu kilka uczniowskich ławek, a nawet katedra dla mnie. Staralam się wprowadzić jakiś porządek do tych setek woluminów, ale trwałoby to tydzień. Jednocześnie zrobiło mi się żal i wstyd.

Na moich zbiorach, szczególnie tych poupychanych na dolnych półkach regałów stojących pod szczytową ścianą, odcisnęły się lata przebywania w zimnym i wilgotnym pomieszczeniu. Niektóre tomy, te szczególnie cenne, postanowiłam ratować, inne poleciłam Michaśowi spakować oddzielnie i wynieść do spalenia.

– Ile są warte? – spytał, widząc mój smutek, gdy podawałam mu sklejoną grzybem *Klub Pickwicka* i tom *Leksykonu Brockhousa*, który rozpadł mi się w rękach.

Przez zaniedbanie dokonałam strasznej zbrodni. Spojrzałam na zbrązowiały grzbiet kieszonkowego wydania *451 stopni Fahrenheita* i łzy napłynęły mi do oczu.

– Bardzo cenne. To wszystko są ludzkie myśli, czasami emocje. A zawsze dużo pracy.

– A ile kosztują?

Westchnęłam, trochę zła. Przecież poza papierem, farbą i zdobieniami książki nie miały dla Michasia żadnej wartości. Przynajmniej jeszcze nie teraz.

– Ta – powiedziałam, wskazując Brockhaus – była bardzo droga. Tamte można było kupić za cenę butelki terpentyny, którą pędzi twój ojciec.

– Mogę je zatrzymać? – spytał nieśmiało.

– A bierz. Tylko żebyś tam u siebie bałaganu nie zrobił.

– Nie zrobię – obiecał i odłożył karton przy drzwiach.

Niechący zrobić mi przysługę – nie musiałam wyrzucać książek. Michał zniósł z piętra obórki na podwórze okrągły stół ze sklejki, z ładnie wygiętymi nogami. Dokładnie go oczyścił i wyszlifował cegłą całą powierzchnię, również od spodu. Lakieru i tak praktycznie na nim nie było, a górna warstwa płyty odstawała i pomarszczyła się od wilgoci. Natarł blat olejem. Krzesło już tylko odkurzył i przetarł na mokro. Swoje nowe biurko ustawił w klasie przy samym oknie.

Kazałam mu z pokoju na piętrze wynieść fotel. Chciałam to zrobić już jakiś czas temu, bo sprężyny starego, stojącego przed kominkiem w kuchni, coraz bardziej wpijały mi się w tyłek mimo podkładania kolejnych poduszek. Chłopak mocno się zadyszał, walcząc na wąskich schodach z ciężkim i nieporęcznym meblem. Mój stary fotel umieścił w bibliotece przy stoliku, a nowy-stary zaniósł do kuchni.

– Jeszcze przemyjesz tu okna, żebyśmy nie oślepli. Potem jesteś wolny – poleciłam, z zadowoleniem obserwując efekty całego dnia pracy.

Sala lekcyjna była gotowa. Gdy Michaś poszedł, zza regału wyciągnęłam zwiniętą w rulon mapę. Zdjęłam

ze ściany obrazek przedstawiający postać w aureoli, teraz wypływały i praktycznie nieczytelny, i zawiesiłam na gwoździu nową pomoc naukową. Rozejrzałam się po całym pomieszczeniu – od drewnianej podłogi z poszarzałym chodnikiem na środku po ściany z odpadającymi kawałkami tapety i czyste okno. Chciało mi się skakać z radości. Nie mogłam doczekać się pierwszej lekcji w tej pięknej klasie, prawie jak sprzed wojny.

Ku mojemu zaskoczeniu w przetrzebionej właśnie bibliotece materiałów dotyczących badania predyspozycji uczniów było niewiele, a raczej nie było prawie wcale. Znalazłam tylko wydrukowaną na laserówce magisterkę niejkiej Zofii Łukowskiej. Badała uczniów jednej z pobliskich szkół muzycznych, starając się wykazać różnice w ogólnych predyspozycjach, inteligencji i zainteresowaniach w stosunku do ogółu uczniów z regionu. Na szczęście w załącznikach zamieściła przykładowe testy, a w części poświęconej metodologii znajdował się opis poszczególnych kroków.

Sprawdzanie umiejętności nowego ucznia trwało całe popołudnie. Z pracowni przyniosłam mechaniczny budzik Rakietę, jeszcze radzieckiej produkcji, i naostrzyłam aż trzy ołówki, żeby chłopakowi nie przeszkadzały problemy „techniczne”. Michaś przyniósł dzbanek z herbatą i dwa kubki. Usiadłam w fotelu i zaczęłam układać na blacie arkusze.

– To jest takie badanie, które mi podpowie, jak szybko będziesz się uczył. Nie możesz go nie zdać, to znaczy, że nie odeślę cię do rodziców bez względu na

wynik. To tylko takie zagadki, więc nie musisz się denerwować.

Skinął głową, ale widziałam, że jest stremowany.

– To zaczynamy. Jakiego obrazka brakuje? – spytałam, pokazując jedno z przykładowych zadań.

– Jak to brakuje? – Zmarszczył czoło, wgapiając się w arkusz papieru z białymi i czarnymi figurami geometrycznymi.

– W tym rogu. – Wskazałam palcem puste pole. – Masz trzy kwadraty, trzy koła i dwa trójkąty. Czego brakuje?

– No... trójkąta – odpowiedział niepewnie po chwili wahania.

– Dobrze. A białego czy czarnego?

– Czarnego – odpowiedział niemal natychmiast.

– Czemu?

– Bo w tej i tej linii jest jeden obrazek czarny, a w tej nie ma żadnego – wyjaśnił, wskazując palcem zaczerpnięte figury.

Przytaknęłam i ustawiłam zegar na dwunastą. Siadłam obok, na wypadek gdyby zadawał jeszcze jakieś pytania. Chłopak miał pół godziny na uporanie się z resztą ćwiczeń.

Potem zrobiłam mu test na pamięć, a następnie jeszcze kilka innych, o których istnieniu wcześniej nie miałam pojęcia, a pewnie sama miałabym z nimi problemy. Przed zmrokiem, gdy Michaś poszedł oporządzić zwierzęta, siadłam nad kluczem i po godzinie porównywania z nim odpowiedzi nie miałam już żadnych wątpliwości, że na głupka nie trafiłam. Poczułam

nawet ukłucie zazdrości. Taki wioskowy geniuszek. Musiał mieć wśród rówieśników przerąbane, pomyślałam ze wstydliwą satysfakcją.



Staszek bimbrownik przyjechał następnego dnia przed zmrokiem, jak większość odwiedzających moje gospodarstwo. Dotychczas nie spotykałam go zbyt często. Nie to, że dzieci mu nie chorowały, ale gdy przyjeżdżałam do wioski leczyć, pouczać i łajać, zazwyczaj to Zosia Staszkowa przyjmowała mnie w domu, zresztą jednym z większych i lepiej utrzymanych w całej wsi. Dzieci mieli piątkę. Wesołe, rozbiegane stadko, dlatego nigdy nie widziałam ich wszystkich jednocześnie. Co zresztą było normalne – maluchy zazwyczaj bały się starej czarownicy, która dodatkowo kłuła je, przytykała do pleców zimne przedmioty i dawała do picia gorzkie płyny lub smarowała śmierdzącymi, lepкими maściami.

Postawny facet w sile wieku, schludnie ubrany, wjechał na podwórze wozem na gumowych oponach. Wyszłam mu naprzeciw, a Michaś podbiegł do koników i poprowadził je tak, żeby pojazd ustawił się bokiem do domu. Bimbrownik sprawnie zeskoczył z kozła i podszedł bez słowa, uciekając wzrokiem na wszystkie strony, jak gdyby nie chciał patrzeć mi w oczy, dopóki nie będzie miał sposobności, żeby się odezwać.

– Uszanowanie, Starsza – przywitał się, zdejmując czapkę i wyciągając dłoni.

Po chwili dowiedziałam się, skąd u chłopca nawyk gnienienia ludziom gnatów na dzień dobry.

– Nie ulega wątpliwości, młodszy – odpowiedziałam, lekko się uśmiechając. – Przejdźmy do środka, bo zaraz mnie przewieje.

Przeszliśmy przez wiatrołap, przedpokój, gdzie kazałam mu powiesić czapkę i kurtkę, potem przez kuchnię i w końcu stanęliśmy w wejściu do klasy, podziwiając powstały poprzedniego dnia ład.

Najważniejsze w interesach jest wywarcie dobrego wrażenia i jestem przekonana, że to mi się udało. Staszek rozglądał się po opisanych skrzynkach i półkach po brzegi wypełnionych książkami. Z uwagą oglądał starą mapę szkolną. Nic to, że była to mapa administracyjna Afryki. Innej nie miałam.

– Tutaj chłopak będzie się uczył. – Wskazałam stolik pod oknem.

Dopiero wtedy zauważyłam stojącą na parapecie skrzynkę z wystającymi z wyschniętej na wiór ziemi baidylami, pozostałością po roślinie zamordowanej przed laty przez zapomnienie. Michaś jej nie uprzątnął, mimo że okno umył. No tak, przecież za wyczyszczenie słoiów z pleśnią dostał burę. Starając się ukryć zakłopotanie, zakryłam sobą okno i ręką wskazałam regały.

– Nauka potrwa pewnie ze trzy lata.

– Aż trzy? – Staszek nie krył zdziwienia. – A czego on się tyle ma uczyć, przecież niegłupi.

– Przynajmniej trzy – podkreśliłam. – Najpierw naucz się czytać i pisać, potem dopiero zacznę go uczyć leczenia.

– A po co mu to czytanie?

Podeszłam do mapy.

– Na przykład, żeby mógł przeczytać, jakie wioski są po drugiej stronie Kałuży i jak daleko. Żeby mógł znaleźć dawny Róg. – Wskazałam palcem Kair. – Karwik. – Moja dłoń powędrowała na Sudan. – A nawet Jańsborg. – Schyliłam się, żeby dotknąć na mapie kropki oznaczonej jako Johannesburg.

– A gdzie są Mikołajki?

– Na Gibraltarze – zażartowałam, ale raczej nie zrozumiał. – Za długo by tłumaczyć. Tutaj. – Machnięciem ręki zakresliłam mniej więcej obszar Hiszpanii i Maroka.

– A po co mu to? – Staszek nadal nie był przekonany. Westchnęłam.

– Zawozisz wódkę na handel też do innych wiosek.

Przytaknął, nadal nie rozumiejąc, co chcę mu powiedzieć.

– Tutaj masz nie tylko odległości, ale też trasy. Taki Róg jest blisko, bo tuż za Kałużą. Ale żeby do niego dojechać wzdłuż brzegu, łądem, trzeba nadłożyć pół dnia drogi.

– Dlatego do Rogu ślemy łodzie.

– Bo kiedyś ktoś pojechał łądem i sprawdził, że to nijak się nie opłaca.

– Pewnie tak było. – Wzruszył ramionami, nadal nie rozumiejąc.

– A jeżeli będziesz na przykład miał cały wóz towaru do Rucianego albo i nawet do Nidy, to będziesz wioził łądem czy wodą?

Przez chwilę milczał, gryząc pięść.

– Nie wiem, Starsza.

– Bo nigdy tam nie byłeś i nie znasz nikogo, kto by ci powiedział. A ja ci mówię, że wodą i do Rucianego, i do Nidy. Szybciej, taniej i łatwiej, chociaż to i tak będzie z dzień drogi.

– A gdzie to Ruciane? – spytał, patrząc na mapę.

Trochę zbił mnie z tropu.

– Za daleko. Nie zmieściło się na tej mapie. Ale są inne. Poza tym w książkach są opisy. Podaj jedną – poleciłam, żeby odciągnąć jego uwagę od Afryki.

Staszek podszedł do najbliższego regału i spomiędzy ustawionych w rzędkę grzbietów wybrał grubą książkę w szarej okładce.

– *Choroby kóz* – przeczytałam tytuł dzieła i otworzyłam je w poszukiwaniu początku dowolnego rozdziału lub akapitu. Poprawiłam okulary. – Kokcydioza. Choroba wywoływana przez pierwotniaki z gromady *Coccidea*, podtyp *Apicomplexa*... Objawy. – Przeskoczyłam niżej. – Objawy występują wyłącznie u młodych kozłat, w wieku do pięciu miesięcy, w ciągu tygodnia do dwóch od zarażenia. Biegunka z domieszką śluzu, później krwi. Wzmoczone pragnienie, odwodnienie. Uszkodzenie błony śluzowej jelit prowadzi do charłactwa...

– A jak to się leczy? – przerwał wyraźnie zainteresowany Staszek.

Przerzuciłam stronę, szukając odpowiedniego fragmentu.

– Kokcydiostatyki... sulfadymidyna w takich i takich dawkach, toltrazuril, diklazuril. I tak dalej.

– Z hukiem zatrzasnęłam książkę. – A to były tylko dwie strony. W tej książce jest ich pięćset, może więcej. W całym pokoju są dziesiątki, setki tysięcy stron.

Skinął głową, a po chwili uśmiechnął się szeroko.

– I wszystkie te książki są o leczeniu?

– A skąd! Przed wojną ludzie pisali o wszystkim. Wskaż inną. *Księga ciast, Dynastia Piastów, Słownik polsko-niemiecki i niemiecko-polski, Władca Pierścieni, Atlas historyczny, Apteka naturalna, Pani Bovary...* – czytałam tytuły każdego woluminu, którego akurat dotykał Staszek.

– No to będę miał najmądrzejszego chłopaka we wsi! – krzyknął zachwycony, gdy dotarło do niego, czego Michaś będzie się uczył.

– W całej okolicy od Pustkowie Orzyskiego do Jańsborga, a na zachód do Mikołajek. Ale nie za darmo. – Przeszłam płynnie do interesów. Skoro już znał wartość usługi, to pora porozmawiać o zapłacie. – Nauka zajmie kilka godzin dziennie przez całe trzy lata. Poza tym chłopak narobił już trochę szkód. Zniszczył bardzo cenne leki. Będę też miała mniej czasu na leczenie, dlatego musisz mi to zrekompensować.

– Chłopak pomoże w gospodarstwie – odpowiedział od razu. Tanio chciał się wykpić.

– Już mi pomógł. Miesiące pracy przy antybiotykach poszły w pizdu. To już wolę zapłacić parobkowi ze wsi. Niepotrzebnie syna wdowy Janki odesłałam. – Spojrzałam w sufit, żeby pokazać, jak bardzo żałuję tej decyzji.

– Za leki zapłacę, a chłopak dostanie w dupę, żeby pamiętał.

– Już ja się postaram, żeby pamiętać. Ty mi zwróć za leki i zapewnij utrzymanie chłopcu i mnie. I zwierzętom.

Przez dłuższą chwilę trawił informacje, marszcząc czoło i mrucząc coś pod nosem.

– Bez zwierząt.

– Co bez zwierząt? – Udałam, że nie rozumiem.

– Bez zwierząt. Jedzenie i ubranie dla ciebie i dla chłopaka.

– To pakuj dzieciaka na wóz i wynocha! Nie oddam dwudziestu lat nauki i pięćdziesięciu lat doświadczenia za bezdurno. Ja niedługo umrę, a wioskę wybije tatar z dziczyny.

– Przecież zakazałaś – zaprotestował.

– No właśnie, bo wiem, czym to grozi! Dziesięć razy trzeba wam było powtarzać, żebyście nie żarli świeżego, tylko mrozili. Ale jak Kośława pójdzie do piachu, to nikt nie będzie pilnował, żebyście sami się nie wybili włośniem, gronkowcem czy salmonellą. Bo nikt nie będzie umiał.

– To już problem sołtysa. Z nim się targuj.

Zakłęłam cicho.

– A syn to też problem sołtysa? O ile wiem, to sołtys dzieci nie ma i raczej nie będzie miał, a przynajmniej ja ich nie doczekam. Chcesz kształcić syna, to sam się rachuj z sołtysem. Ja chcę mieć spokój i pewność, że nie zdechnę z głodu na przednówku.

– No dobrze – zgodził się po chwili. – Będę co tydzień przysyłał parobka, żeby sprawdził, czy czego wam nie brakuje, dopóki nie spadnie śnieg.

– I jeszcze trzeba tu trochę remontów porobić, wymienić niektóre sprzęty. To już nie targi. Ojciec powinien pomóc synowi, żeby nie musiał po lasach szukać materiałów, gdy Koślawej zachce się połatać dach.

– Ciężko się z tobą rozmawia, Starsza. – Pokiwał głową z uśmiechem. – Umowa?

– Umowa – odpowiedziałam i podałam mu dłoń, szykując się na gniesienie kości. Przygotowanie niewiele pomogło.

Wyszliśmy na podwórze. Michaś cały czas stał przy koniach i mówił do nich spokojnym głosem, jednocześnie poklepując je naprzemiennie po szyi. Spojrzał najpierw na mnie, potem na ojca i wyraźnie odetchnął, gdy zorientował się, że rodzic jest w dobrym humorze.

Staszek wsiadł na wóz i chwycił podane przez syna lejce.

– Jak następnym razem przyjadę, coś mi przeczytasz – zapowiedział wyraźnie zadowolony. Schylił się i klepnął syna po ramieniu.

Musiałam przyznać, że facet był niegłupi. Dostrzegł potencjał, i to wcale szybko. A szykowałam się na cięższą batalię. Nie przez przypadek się dorobił.

– Koniecznie przywieź chleb – poleciłam, gdy zawracał wozem.

– A może jeszcze jagody?

– Z chleba robi się leki! – krzyknęłam, bo koła wozu skrzypiały.

– Z chleba?

– Ze zgniłych ziemniaków robisz bimber i jakoś cię to nie dziwi.

Wzruszył tylko ramionami i odjechał, odprowadzany wzrokiem syna.

– Na razie zostajesz – zwróciłam się do młodego.

Chłopak wyszczerzył w uśmiechu wszystkie zęby.

– Wyrzuć jeszcze skrzynkę z okna w klasie i postaw tam aloes, taki kolczasty krzak. Jest na górze.

– Kiedy będę czytać?

– Od jutra.

Miałam nadzieję, że nie straci zapалу.



Pierwszą lekcję rozpoczęliśmy następnego dnia po obiedzie, podobnie jak każdą kolejną aż do świąt, z niewielkimi zmianami, gdy pojawiał się pacjent lub handlarz albo zdarzały się jakieś nieprzewidziane wypadki. Przed południem porządkowaliśmy gospodarstwo. Michaś pozbierał dachówki ze stodoły i łątał nimi dziury w dachach pozostałych budynków. Przeczyścił komin i odkrył wyjścia szybu kominowego na pozostałe pokoje, dlatego można było umieścić piecyk w bibliotece, a raczej w klasie. Wstawił też na piętro okap z blachy i coś w rodzaju improwizowanego paleniska. Przydały się do tego starożytne arkusze eternitu, które walają się po wszystkich lasach i wykrotach w okolicy.

Od czasu pojawienia się Michasia żaden pacjent u mnie nie nocował, ale trzeba było przygotować się na taką możliwość. Nie chciałam też przenosić chłopaka do domu, skoro już się w kurniku zadomowił. Poza

tym po latach samotności nie zniosłabym ciągłego towarzystwa. W dotychczas nieużywanym pokoju na piętrze poza łóżkiem zmieścił się solidny stół i dwa krzesła. W pomieszczeniu było ciemno, dlatego poleciałam chłopakowi skośne ściany dachowe wyłożyć blachą ocynkowaną, aluminium z puszek po napojach i innymi materiałami odbijającymi światło. Dzięki temu kilka lamp naftowych i olejowych od biedy wystarczało do przeprowadzenia przynajmniej ogólnego badania.

Pacjenci przyjeżdżali najczęściej w połowie tygodnia, nigdy w sobotę. Nie chcieli omijać mszy, na której i tak niechybnie usłyszą kilka niemiłych uwag na swój temat, na mój zresztą też, ale zawsze to lepiej, niż wysłuchiwać potępiających komentarzy przez kilka niedziel z rzędu, prawda? Wielebny w stosunku do parafian nieobecnych na poświęconej im homilii nie był tak łaskawy, jak w przypadku pacjentów, którzy na mszę i po pokutę przychodzili. Dlatego do mnie woleli przyjeżdżać z kłopotami i po kłopoty odpowiednio wcześniej.

Leczyłam ich wieczorami lub w nocy, czasami dopiero rano, gdy szukanie informacji lub przygotowanie leku zajmowało mi więcej czasu. Gdy tylko pacjent przyjeżdżał, lekcje się kończyły, a ja otwierałam gabinet, czyli prowadziłam chorych do gościnnej sypialni na piętrze. Michaś chętnie uczestniczył w tych wizytach. Przestrzegłam go wcześniej, że tajemnica między pacjentem a lekarzem to rzecz święta i nigdy, pod żadnym pozorem, nawet na torturach, nawet na spowie-

dzi, nie wolno mu pisać słowa na temat stanu zdrowia chorego. Powtarzałam to także przy pacjentach, którzy nieufnie odnosili się do tego zamyślonego syna Staszka. Na szczęście nie było jakichś trudnych przypadków. Przeziębienia, powierzchowne, ale paprzące się rany, duszności, gorączka u dziecka i takie tam. Po wizycie chorzy mogli liczyć na rosół i nocleg. O to wszystko dbał Michaś. Przygotowywał pościel, przynosił żar do koksownika na piętrze, podgrzewał lub gotował rosół. Ja w tym czasie wyciągałam od przyjezdnych najnowsze plotki krążące po Okartowie. Następnego dnia po wyjeździe pacjenta odpuszczaliśmy sobie przedpołudniowe prace, poza karmieniem zwierząt, i spaliśmy dowolnie długo.

Raz w tygodniu Michaś chodził do wsi i zawsze wracał z marchwią i jabłkami dla koni, z którymi mocno się zaprzyjaźnił. Polubili się nawet z kozą Głupią, która była zawsze złośliwa, przynajmniej w stosunku do mnie. Imię dostała, gdy jeszcze jako koźlę wskakiwała mi za każdym razem na plecy, gdy schylałam się, żeby wlać wodę do koryta. Gdy urosła, już nie próbowała wskakiwać, za to boleśnie bodła. Wtedy codziennie przybywało mi kolejnych siniaków na udach. Potem koza trochę spoważniała, ale nadal miałam się przy niej na baczności. W tym wieku o złamanie kości udowej nietrudno.

Gdy poleciłam Michasiowi, żeby zdobył więcej czystych kartek, okazało się, że trzymał u siebie ryzę papieru, ołówki, jakieś wyschnięte flamastry i kilka zeszytów do połowy już zapisanych kośla-

wymi bukwami. Dałam mu na te wszystkie przybory metalowe pudełko na przynęty wędkarskie, żeby miał piórnik. Dołożyłam też (ale do zwrotu!) ekierkę i cyrkiel. Lekcję rozpoczynaliśmy od żmudnego rysowania linii na czystym papierze do kserokopiarek. Chłopcu zajmowało to dużo czasu, ale że miał podzielną uwagę, to gawędziłam monotonnym głosem o szkołach, uniwersytetach, akademikach i takich tam, żeby wiedział, że kiedyś było może bardziej komfortowo, ale napełnianie głowy treścią też było wtedy trudnym zadaniem.

Czasami ciągnął mnie za język. Tak jak w pewien pogodny wrześniowy dzień, gdy łapałam ostatnie słabe promienie słońca. Dwa dni wcześniej przyszła kobieta ze strasznie zdeformowanym kilkulatkiem, któremu nie potrafiłam pomóc. Niewykształcony nos, brak jednego oczodołu i szczątkowe trzecie ramię. Żeby dziecku łatwiej się oddychało, dałam matce kaniulę nosową zgarniętą przed laty z jakiegoś zrujnowanego szpitala i przepis na zioła uspokajające, upewniając się, że kobieta rozpozna melisę, chmiel i kozłka. Jakakolwiek operacja takich zmian wymagałaby warunków i środków, jakich nie byłam w stanie zapewnić. Mogłam tylko łagodzić objawy, ale nie obiecywać, że się poprawi.

Zostali na noc. Płaczący pacjent praktycznie nie dał mi zasnąć, dlatego rano obejrzałam chłopca ponownie.

– Jak często sika? – spytałam matkę, oglądając jednocześnie flanelową pieluchę.

– Chyba normalnie, jak to dziecko – odpowiedziała, wzruszając ramionami.

Coś mi nie pasowało. Z braku nocnika kazałam wysadzić kalekę na garnku, a później poleciłam Michasiowi, żeby zebrał z wierzchu mocz, gdy już odstał.

– Tylko uważaj, żeby za bardzo nie mieszać. To, co zostanie, zlej przez lejek do kolby. Takiego szklanego naczynia, co u dołu jest kuliste – wytłumaczyłam. – Potem przynieś tutaj razem z igłami i szalką Petr... z takim płaskim talerzem ze szkła. Wszystko znajdziesz w pracowni.

Nie zamierzałam pobierać krwi, zresztą moje igły były zbyt duże jak na takiego malucha. Po prostu ostrym czubkiem robiłam małe nacięcie i poczekałam, aż kilka kropel krwi spłynie na szkiełko. Dzieciaki cały czas wrzeszczały i rzucały się tak, że musieliśmy go trzymać we trójkę. Z przygotowaną próbką wyszliśmy z Michasiem przed dom, po drodze zabierając kolbę z pracowni.

– Pomagałeś ojcu przy świniobiciu? Dobrze – dodałam, gdy potwierdził. Podsunęłam mu pod nos próbkę krwi.

– Krew nerkowa. Widzisz to? Różni się od zdrowej.

Znów potwierdził, lecz po jego minie wywnioskowałam, że nie był szczególnie przekonany. No ale niby czego się spodziewałam?

– Wygląda, jakby była sypka – wytłumaczyłam.

– Przypomnij sobie krew ze świni. Jaką miała powierzchnię?

Zamyślił się na chwilę, patrząc w niebo i mrużąc jedno oko.

– Gładką. Jak wosk ze świecy.

– A ta? – Wskazałam prawie niezauważalne wybrzuszenie na powierzchni czerwonego kleksa.

– Ma takie drobinki – odparł po chwili obserwacji.

– To nie są drobinki, ale masz rację. Ma inną konsystencję, inaczej się zachowuje. Teraz zbadamy mocz.

– Gestem wskazałam, żeby podał mi kolbę. Podniosłam ją ponad głowę, starając się za bardzo nie trząść płynem, i spojrzałam pod światło, poprawiając okulary.

– Co tam jest? – spytał, wskazując biały osad przypominający mgiełkę.

– Pewnie białkomocz. Przed wojną krew i mocz badało się specjalnymi odczynnikami, ale my ich nie mamy, dlatego możemy korzystać tylko ze zmysłów i z doświadczenia. A doświadczenie mi mówi, że mały pacjent ma niewydolność nerek – postawiłam diagnozę, nadal obserwując preparaty. – Odnies to do pracowni i wracaj na górę.

Kobieta opuściła gospodarstwo wczesnym popołudniem. Nalegałam, żeby przed podróżą jeszcze się zdrzemnęła, a przed samym wyjściem przepytalam ją z zaleceń dotyczących diety i sporządzania napojów ziołowych. Mnie również nieprzespana noc dała się we znaki, dlatego odwołałam lekcje. Siadłam na ławeczce przed domem, a Michaś przez chwilę kręcił się znużony, po czym przysiadł obok.

– Matka mówi, że mutacje to od bomb z wojny? Jak z tej, co wybuchła nad Pustkowiec? – spytał, gdy w końcu zebrał się na odwagę, bo zazwyczaj takie pytania po prostu ignorowałam i parę razy dostał po łbie, szczególnie gdy pogoda mocno dawała mi

się we znaki. Tego dnia jednak prawie nic mnie nie bolało.

– Nad Orzyszem – poprawiłam. – Wtedy to był Orzysz, nie żadne Pustkowie. Być może od bomb, ale nie tylko. Poza tym tych bomb wcale nie było aż tak wiele. W Polsce spadło może tuzin, może dwa. A i to pierwszego dnia wojny.

– To skąd te mutacje?

– Pamiętasz, co ci powiedziałam kiedyś na temat wzrostu?

– Że teraz ludzie nie rosną, bo źle jedzą i się nie myją.

Zaśmiałam się, ale natychmiast się powstrzymałam i zakryłam usta. Ostatnio śmieję się jak jędra. A jeszcze ten nieestetyczny brak górnej jędynki.

– To też. Po bombach atomowych na niebie pojawiły się drony. To takie latające maszyny bez ludzi, sterowane przez automaty – wyjaśniłam, widząc niezrozumienie na twarzy Michasia. – Te drony wypuszczały trujące gazy. Większość ludzi umarła od tych gazów, a nie od bomb, bo ta Pierwsza Fala trwała kilka miesięcy, więc drony miały dużo czasu. Poza tym podejrzewam, że wróg zatruł ujęcia wody. Ci ludzie, którzy przeżyli, mieli uszkodzone organizmy, dlatego czasami płodzili potworki.

– To dlatego nie pozwalasz kąpać się w rzeczce?

– Nie, nie dlatego. Gdy ludzie zniknęli, wszystkie zwierzętazymane w hodowlach padły bez jedzenia i wody i zaczęły gnić. Dużo tego ścierwa trafiło do rzek. Poza tym stanęły oczyszczalnie, rozszczelniła się kanalizacja, jakieś wycieki z fabryk też pewnie były. Ta

niezamierzona Druga Fala wykończyła niedobitki, bo ludzie zaczęli chorować.

– Od zarazków. – Chłopak pochwalił się posiadaną od niedawna wiedzą.

– Tak, od zarazków.

– To wróg nie rozrzucał zarazków? Ja bym tak zrobił. Spojrzałam na niego z nieukrywaniem zdziwienia.

– Czasami ludzie tak robili, ale broń biologiczna, czyli takie zabójcze sztuczne zarazki, może być niebezpieczna również dla atakującego. A przecież wojny się prowadzi, żeby zająć jakiś teren, zdobyć jakieś zasoby. Trucizny są przewidywalne. Po pewnym czasie przestają działać, a z zarazkami jest różnie, bo one też cały czas się zmieniają. Mutują. Ludzie też, tylko wolniej. Nie każda mutacja jest zła. Ale o tym to sam sobie poczytasz, gdy już się nauczysz.

– To czemu wróg nie przyszedł?

Westchnęłam, zmęczona tym przesłuchaniem.

– Podejrzewam, że po bombardowaniach i zniszczeniu wielkich miast nikt już nie kontrolował rozwoju wypadków. Nasi sprzymierzeńcy też mieli bomby, a zapewne gazy również, chociaż pewnie za nic by się do tego nie przyznali. Taka broń była zabroniona. Pewnie u wroga jest takie samo pustkowienie jak u nas. Przypuszczam, że nie zostało zbyt wielu żołnierzy, którzy by mogli tu przyjść na podbój.

– A czemu wojna wybuchła?

Próbowałam sobie przypomnieć, co wiedziałam na ten temat. Robiłam to wielokrotnie. Pierwsze miesiące po wybuchu konfliktu, zanim jeszcze zaszyłam się

w piwnicy bloku w Jańsborgu, starając się przeczekać Pierwszą Falę, żywiąc się przetworami i ziemniakami, zbierałam plotki i szczątki informacji. Niewiele się wtedy dowiedziałam.

– Nie wiem. Wojny wybuchają, bo ktoś chce zarobić. Czasami jest to wojna o ziemię, czasami o zasoby naturalne, jedzenie, a czasami tylko dlatego, że ktoś chce sprzedać więcej broni. Może kiedyś znów pojawią się historycy, którzy dokładnie to zbadają i opiszą. Może nawet już tacy są, tylko o nich nie wiemy.

– Mogę jeszcze jedno pytanie?

– Strzelaj.

– Gdzie są te oczyszczalnie, które zatruwają rzekę?

– O oczyszczalnie się nie martw. Po tylu latach już zarosły i nie są groźne. Bardziej mnie martwią te wszystkie wychodki i wylewanie gnojówki. Ale koniec o tym. Nie psuj mi apetytu. Czas na obiad. – Skończyłam i poszłam do kuchni.

3.

Dawno temu, przed wojną, ale jeszcze tamtą poprzednią, w miejscu, gdzie teraz jest kościół, stał zamek, w którym żli rycerze uwięzili młodego księcia. Jego ojciec zgodził się zapłacić okup, i to ogromny, bo rycerze chcieli całą skrzynię złota i żeby złoto ważyło tyle, co ten książę, a to podobno był ogromny chłop. No i król przyjechał do wsi, i już miał wjeżdżać do zamku, gdy zza płotu wybiegł śpieg tego króla i powiedział, że rycerze księcia utopili. Król się wściekł, aż zaczął kurwami rzucać, a zazwyczaj tego nie robił, bo królowi tak nie wypada. Kazał sługom skrzynię z wozu zdjąć i do zatoki wrzucić, o tam, pod mostem żelaznym, bo tam było najgłębiej. A potem ze swoimi rycerzami zaatakowali zamek.

Jak już mieli wejść do ostatniej izby, gdzie schował się zły kontur, to dopiero wtedy tamten zabił księcia, bo tak naprawdę śpieg kłamał i rycerze wcale księcia nie zabili. Król nie zdążył uratować syna, który umarł mu na rękach. Potem ludzie króla zamek spalili i postawili na tym miejscu kościół.

Ale to nie koniec, bo gdy już król i jego ludzie odjechali, to śpieg wyszedł z ukrycia i wlaźł do wody, żeby zabrać

skarbu dla siebie. Na brzegu zobaczył chłopczyka w czerwonym kubraczku na grzbiecie i czerwonej czapeczce. Śpieg powiedział maluchowi, że się z nim podzieli złotem, jeśli ten znajdzie jakąś linę, ale taką długą, żeby można było obwiązać mocno kufer. Oczywiście zamierzał oszukać główniarza, tak jak wcześniej oszukał dobrego króla.

No i maluch przyniósł linę, a śpieg owiązał się i dał nura w wodę. I się nie wynurzał, i nie wynurzał, a chłopczyk w kubraczku tylko stał na brzegu i się uśmiechał. Bo to nie był żaden chłopczyk, tylko topich. I on przeklął śpiega, że ten utonie, jak tylko wejdzie do wody.

A skarb ciągle tam leży, bo nawet jak most budowali, to go nie znaleźli, czyli ciągle musi tam być.

Od wielu lat nie chodzę do wsi. Te kilka kilometrów marszu wystarcza, żebym na miejsce dotarła zupełnie wykończona, a potem odchorowywała tę wyprawę przez tydzień. Nawet jazda wozem potrafi dać się we znaki. Wszystkie wozy i sanie we wsi są odkryte, a podmuchy wiatru już o tej porze roku czuję w kościach. Wchodzą tam i kumulują się, żeby w nocy lub następnego poranka uderzyć bólem, który uniemożliwia jakiegokolwiek funkcjonowanie. Kiedyś było inaczej. „Lekarka na rubieży”, śmiałam się, ale co tydzień meldowałam się u Waldka, a gdy mu się zmarło – u jego żony. Otwierałam prowizoryczny gabinet i posyłałam dzieci z informacją, że Kośława przyjmuje, a potem odwiedzi tych, u których nie była od miesiąca. Zdarzało się, że niektórych mężczyzn nie widywałam dłużej okres, bo regularnie opieprzani za brudne i bite zwie-

rzęta na wieść o wizycie uciekali w pole, aż im gumiaki spadały. Zostawiali w domach żony i córki, żeby ich przede mną tłumaczyły. Wicie – kobieta lepiej kobietę zrozumie. I rozumiałyśmy się w pół słowa.

– Znowu zwał? – pytałam.

– Ano zwał – potwierdzały gospodynie, załamując ręce.

Pod moim okiem ludzie stawiali sławojki, kopali studnie, myli wymiona przed udojem, szczotkowali konie, wyrzucali śmierdzące na kilometr „przecież wczoraj łowione” ryby. Również dzieci przyzwyczaiły się do wizyt Wiedzącej i do związanych z nimi przykrości. Sprawdzałam postawę, wzrok, oddech, płaskostopie; osłuchiwałam, opukiwałam. A wszystkich, i to bez wyjątku, opieprzałam za niemycie zębów. Może dlatego, że sama zawsze bałam się dentystów i nie zamierzałam przekształcać się w jednego z nich, a poza tym wiedziałam, ile problemów może wyniknąć z próchnicy. Koszmar.

Czułam się potrzebna i byłam potrzebna.

Teraz rzadko jeżdżę do wsi. Wyjątkiem są kiermasze – dożynkowy i wielkanocny.

Dawniejsze ruchome święta ksiądz Marek zastąpił stałymi datami pierwszego maja i pierwszego października.

– Nikt w okolicy ich nie policzy, a poza tym przeszkadzają w pracach, szczególnie te jesienne – uzasadnił.

Dwa dni po pierwszym śniegu, który spadł w tym roku wyjątkowo wcześniej, zapakowaliśmy wóz przysłany przez Staszka bimbrownika. Muszę przyznać, że

spirytus przyniesiony przez Michasia był wyśmienity. Zamierzałam sprzedać dwadzieścia pięć dwustumili-litrowych butelek z nalewkami: czosnkową, aroniową, miętową i kilkoma jeszcze innymi. Poza tym liczyłam, że pozbędę się nadmiaru suszonych ziół. W zasadzie byłam pewna, że będzie na nie popyt. Ludzie uważali, że spreparowane przeze mnie rośliny są skuteczniejsze od tych, które sami zebrali. Nie protestowałam, bo placebo to podobno połowa sukcesu w leczeniu. Umówiona też byłam u Waldkowej – zasuszzonej, drobnej starowinki, niezwykle energicznej i ruchliwej, która zawsze podejmowała mnie obiadem, i u Zarembów, których dziecko wpadło pod wóz w dzieciństwie i od lat wracało do zdrowia dzięki wysiłkom rodziców codziennie zmuszających je do ćwiczeń rehabilitacyjnych. Nie byłam tam niezbędna, ale zawsze to miło zobaczyć, że zalecona terapia jest skuteczna.

Przy okazji kiermaszu w domu jednego z gospodarzy odbywało się zebranie starszyny, a jednocześnie na placu obok kościoła trwała zabawa. Dziwiło mnie trochę, że takich zabaw nie urządzano latem, gdy nocna pijatka nie groziła przeziębieniem lub hipotermią. Z drugiej strony ślubów i innych uroczystości latem nie brakowało.

Z tym placikiem to przesada. Okartowo jest wsią z jedną wybrukowaną drogą oklejoną po obu stronach domami, z kościołem na skarpie i betonowym mostem nieopodal, teraz podpartym tuzinami sosnowych pni, które chronią go przed zawaleniem. Przeprawę uszkodziły przejazdy ciężkiego sprzętu w czasie wojny. Nie

ma rynku, dlatego targi i zebrania odbywają się na jedynym szerokim skrzyżowaniu we wsi, czyli przed farą. Od głównej drogi odchodzi węższa, która prowadzi aż do nasypu kolejowego i dalej w las. Gospodarze szyny zdemonstrowali już dawno, ale też postawili ścianę z desek, blokującą dostęp do mostu kolejowego, jeszcze bardziej zniszczonego niż ten podpierany. Sołtys kiedyś żartował, że przez tę wiszącą nad szlakiem wodnym stalową konstrukcję rybacy są najbardziej pobożnymi mieszkańcami wsi, bo modlą się przynajmniej dwa razy dziennie: gdy wypływają z zatoki na Kałuży i wracają z połowu.

Sama wieś wojnę przetrwała bez większych zawirowań. Przechodziły tędy wojska, ale „nasze”, bo przecież do inwazji nigdy nie doszło. Drony wisiały kilka dni nad kominami, ale praktycznie nikogo nie upolowały – już wcześniej gnani owczym pędem mieszkańcy wyjechali do identycznych wsi lub miasteczek, gdzie spotykali pokryte kompozytowym poszyciem zabójcze maszyny. Dopiero po wojnie napływowa ludność skanibalizowała opuszczone budynki, zabierając cegły, kamienie i dachówki, żeby połatać zajęte domy. Przy tym praktycznie zrównano z ziemią tartak leżący po drugiej stronie mostu, zamknięty długo przed wojną. Cóż, w tym regionie tak to już co kilka dekad bywa.

Z czasem się ustabilizowało. Ludzie lubią żyć w skupiskach, więc zajmowali domy sąsiadujące ze sobą. Pojawił się ksiądz Marek, spokojny starszy mężczyzna, który zagnał wszystkich skłóconych ze sobą okartowskich do pracy przy renowacji polichromii w kościele.

Czy akurat polichromia była najważniejsza? Chyba nie, ale przynajmniej ludzie wzajemnie się poznali, niektórzy nawet polubili. Następnie nakazał wybrać sołtysa, zorganizował pierwszy kiermasz dożynkowy, a potem już poszło z górki.

Mimo ostatnich opadów do wsi dojechaliśmy w miarę wcześniej. Prawie cały śnieg stopniał, tylko na skraju lasu jego resztki jeszcze walczyły z dodatnimi temperaturami. Droga była znośna, a pogoda nawet przyjemna i bezwietrzna, dlatego podróż mnie nie wymęczyła. Wysłany przez Staszka Rowiński zadbał o mój komfort. Gdy tylko usiadłam obok parobka na wozie, przykrył mi nogi skórą, a plecy okrył kocem. Trochę wprawdzie zmarzłam, ale nie narzekałam. Jak zwykle z ciekawością obserwowałam mijane zagajniki, wałające się na polach pod lasem kawałki drewna czy pozostałości po palonych gałęziach. Pod kopytami koni wiatr przewiewał strugi z heblowanych w pobliżu desek. Oczywiście nikogo z drwali i cieśli już nie było. Słota i zimno zagościły wszystkich rzemieślników do chałup i przydomowych warsztatów. Kiermasz miał być zwieńczeniem tej pory dostatku, ale też ciężkiej pracy.

Cały czas ścisnęłam w dłoniach bukiet lekko zwiędłych kwiatów. Gdy tylko dojechaliśmy do kamiennego ogrodzenia fary, poprosiłam Rowińskiego, żeby się zatrzymał i pomógł mi zejść z wozu. Z bukietem w ręce i wciąż okryta kocem poszłam w stronę kościoła. Minęłam budynek po prawej stronie i podeszłam do dużego kamienia z wyrytym krzyżem i niezgrabnie wydrapanym napisem. Stałam, składając dłonie jak

do modlitwy, choć nigdy nie byłam pobożna. Starałam się przypomnieć sobie twarz pochowanego tu mężczyzny. Przywołałam z pamięci uczucie wzajemnego szacunku, przyjaźni i zrozumienia. Tego ciepła, które podsycają wzajemnie powierzone tajemnice. Po chwili zadumy położyłam kwiaty u podstawy cokołu, a następnie pospiesznie wróciłam do wozu. Okolice fary nie były terenem mi przyjaznym.

Jak przed każdym takim kiermaszem, na „placu” trwały gorączkowe przygotowania. Stawiano drągi ze sznurami ozdobionymi chorągiewkami. Wykorzystano w tym celu betonowe słupy energetyczne, teraz przecież całkowicie bezpieczne. Po obu stronach ulicy dyrygowani przez sołtysa chłopcy rozkładali ławy i pieńki pod kramy. Bardziej zaradni i przedsiębiorczy gospodarze wystawiali przed domy garnki, wiadra, beczki, słoiki i tace z miodem, smalcem, grzybami, przetworami czy gulaszem, żeby zdrożeni handlarze mogli się posilić po wyjątkowo okazjnych cenach, a często praktycznie za darmo, jeżeli gościnny gospodarz zamierzał zarobić później na noclegu. Świat się skończył, ale marketing jest wieczny. W powietrzu czuło się podniecenie. Mieszkańcy specjalnie na tę okazję wyciągali z szaf i kufrów odświeżone ubrania, cenne ortalionowe dresy, marynarki, prochowce i szaliki. Kobiety zakładały biżuterię, różne lśniące naszyjniki, często poskładane przez powojennych jubilerów z plastikowych koralików i półszlachetnych kamieni tak, by barwa mniej więcej się zgadzała. Ogródki przed domami były wygrabione i przekopane, okna umyte, a płoty zakonserwowane

przepalonym olejem silnikowym. Radosna atmosfera udzielała się wszystkim. Nawet mnie.

Przygotowana przez sołtysa ława już czekała tam, gdzie zawsze – z dala od kościoła, za to blisko sołtysowej chaty, od tyłu osłonięta przed wiatrem wysokim parkanem. Gładkie deski sosnowe przykryłam najpierw szarym papierem, żeby nie upaprać wszystkiego żywicą, potem koronkowym obrusem, a następnie zaczęłam rozkładać przynoszone przez Michasia towary. Na krawędzi stołu zawiesiłam ceny, które odczytać byli w stanie nieliczni, i opisy, które mogliśmy odczytać tylko ja i od biedy Michaś. Nawet nie proboszcz, który niezawodnie za chwilę miał się tu zjawić.

Zbierały się kумы, które nie zamierzały kupować niczego poza plotkami. Zbierali się obwoźni handlarze na wozach, z których zwisały brzęczące patelnie, wojskowe menażki i cynowe sztucce. Rozkładali się z towarem gospodarze, którzy za chwilę będą głośno zachwalać swoje ziarno, jeżeli zawilgotniało i zgniło lub było zarażone sporyszem, lub będą milczeć, jeżeli ich towar i tak zawsze się sprzedawał, bo jego jakość znała cała okolica. Z każdej strony dochodził wywołujący ślinotok zapach wędlin, wędzonych ryb, przetworów owocowych, ciast i ciasteczek. Mimo zaopatrzenia dostarczanego przez Staszka też zamierzałam zrobić jakieś zakupy.

Przybywało dzieci. Ludzie bali się mutacji, chorób i śmierci przy połogu, ale i tak mnożyli się jak króliki. Ktoś przecież musiał pracować w gospodarstwie, a niewiele było stać na parobków. Podniecona ruchem dzieciarnia kręciła się wokół z brudnymi palcami wetknię-

tymi w usta. Czasem któryś maluch, zagapiony, wodząc wzrokiem za coraz to kolejnymi straganami, podchodził do mojej lady, ale po chwili, gdy orientował się, że czyha tu wiedźma, uciekał, wzywając rodziców na pomoc.

Mijali mnie myśliwi obwieszeni zajęczymi skórkami, czapkami z lisa i rękawicami. Rybacy ze swoimi połowami, sieciami, spławikami ze styropianu i wystruganymi z lipowego drewna figurkami szczupaków i sielaw ustawili się tradycyjnie kawałek dalej, przy moście. Dojrzałam jeszcze bartnika z wonnymi woskowymi świecami i słoikami płynnego pszczelego złota, a nieco dalej nieznany mi mężczyzna rozstawiał stosy klatek, w których trzymał kociaki, szczeniaki i ptaki różnych gatunków. Pomyślałam, żeby na złość wielebnemu kupić sobie kruka albo czarnego kota. Ale już chyba jestem za stara na takie żarty.

Harmider narastał. Układając podawane przez ucznia towary, chłonełam plotki i czekałam na wielebnego. Zastanawiałam się, jaką strategię wybierze w tym roku: straszenie, namawianie, kuszenie? Nie trakto wałam tych potyczek poważnie, a pewnie i proboszcz podchodził do nich jak do naszego wspólnego rytuału, którego pierwotnego znaczenia nikt nie pamiętał.

Pierwsza przyszła się przywitać Kryśka Drawska – atrakcyjna gospodyni w średnim wieku, wciąż zaczepiana przez co bardziej zdesperowanych mężczyzn, gdy jej mąż, zawołany myśliwy i znany w całej okolicy zazdrośnik i furiat, wybywał w lasy. Świetnie peklowała szynki z dzików i wędziła sarnie udźce, co poniekąd było moją zasługą. Przed laty, za namową swojej matki, Jurkowej,

Kryśka mieszkała kilka tygodni w kurniku na kolonii, bo bardzo chciała mieć dzieci, chociaż ja podejrzewałam, że to raczej Jurkowa nie mogła doczekać się wnuków. Bałam oboje Drawskich i mogłam tylko rozłożyć ręce. Nie miałam ani wiedzy, ani wprawy, ani sprzętu, więc poradziłam Kryśce, żeby po prostu próbowali do skutku, bo powojenna wiejska medycyna nie ma dla nich rozwiązania. No i najwyraźniej wzięli się do próbowania, bo kilka miesięcy później znów przyjechali, tym razem wozem załadowanym futrami i mięsem. Tłumaczyłam, że dzieci to się nie biorą od tego, że kobieta kobiecie wsadza instrument, tylko facet, i to inne narzędzie, więc Drawscy raczej powinni sobie te futra zostawić. Nie dali się przekonać, a ja zostałam ze stosem prezentów i spiżarnią wypełnioną marnie uwędzonymi mięsami. To wtedy, po wspólnej kolacji, zaproponowałam jej, żeby została na kolonii. Skoro miała problem z zajściem, to może być i kłopot z donoszeniem. Jej męża wygoniłam w las, żeby nam jako zapłatę za dalsze leczenie przynosił, co tam upoluje i sprawi. Po wstępnym badaniu pacjentki, bo co niby więcej mogłam tam zdiagnozować, posadziłam ją w kuchni, wygrzebałam książki kucharskie, zebrałam zioła i przyprawy i uczyłam... Uczyłyśmy się marynować, wiązać i przygotowywać mięso do wędzenia. Wędzarkę też zbudowałyśmy samodzielnie. A ileż to roboty, jeżeli wszystkie materiały można było znaleźć w gospodarstwie lub w pobliżu? Cegły zdjęte z murku, beczka kurząca się na stryszku obórki, kilka prętów i kamieni.

– Cięża to nie choroba – tłumaczyłam Kryśce, gdy wzdragała się przed machaniem łopatą. Po tym szko-

leniu mięsa od Drawskich przyjmowałam już bez oporów i w dowolnych ilościach.

– Pozdrowienia od męża – powiedziała cicho, podchodząc z lnianą torbą w dłoni.

– A od ciebie to już nie? – zażartowałam.

Nasze spotkania były krępujące, odkąd syn Drawskich w wieku kilku lat skaleczył się w udo podczas zabawy na podwórku i wykrwawił, zanim zdążyłam dojechać do wsi. Wypytałam wtedy Jurkową, czy w rodzinie ktoś jeszcze umarł przez niegroźną ranę. Potwierdziła. Opowiedziałam jej wtedy o hemofilii, sposobie dziedziczenia i skutkach. Czułam się winna, bo nie sprawdziłam tego wcześniej, Jurkowa czuła się winna, bo to jej geny zabiły wnuka, winni czuli się rodzice, bo nie pilnowali dziecka podczas zabawy. Odtąd nasze stosunki nadal były zażyłe, ale wisiał nad nimi cień.

– Ode mnie oczywiście też. Co tam masz? W tym roku nie znalazłam za dużo szaławii, ale mogę podzielić się majerankiem. No i chciałabym odnózkę aloesu.

– Lepiej mi powiedz, czy ci się ten wawrzyn przyjął? – spytałam ciekawa.

– Przyjął. Na wiosnę wolno się zielenił, ale teraz nawet mam trochę rozsąd. Chcesz?

– Za ile? – spytałam, zastanawiając się, jak policzyć szalwie.

– Jak przy Wielkiej Nocy? – spytała, proponując po prostu wymianę potrzebnych produktów.

Zgodziłam się. Jeszcze przez chwilę dogadywałyśmy szczegóły, a ja notowałam i kazałam Michasiowi

wybrane przez Kryskę produkty chować z powrotem do walizy. Nie oddałam jej wszystkiego, ale też nie oddałam tanio. Majeranek i liście wawrzynu to jedno, bardziej zależało mi na szynkach i kiełbasach. Na myśl o nich już ciekła mi ślina. Mięsa Drawski miał dostarczyć do Staszka.

W międzyczasie zrobiła się kolejka. Te same znajome twarze. Listkowa w bezpiecznej odległości od Pawłowskiej. Ta druga po chwili oddaliła się, zapewniając, że wróci później. Ciekawe, czy rzeczywiście się tak nienawidzą, czy to tylko pokazówka przed mężami? Dalej Waldkowa, u której zazwyczaj jadam obiad, gdy jestem we wsi. Pewnie przyszła potwierdzić, że wszystko gotowe, bo później będzie zajęta przy swoim straganie, na którym zawsze piętrzyły się chusty, firany, obrusy, pościele, ale też różne sprytne pierdółki, które wytwarzała razem z kobietami w prowadzonym przez nią kole gospodyń wiejskich. Za nią młoda Knitprodówna, żony rybaków i przygarbiona Janka z dziećmi. W oddali, wsparta o kule, kuśtykała córka Zarembów, asekurowana przez rodziców.

Handel jeszcze się nie zaczął. Na razie był czas na plotki, powitania, narzekanie na pogodę, zdrowie, chwalenie asortymentu i zapraszanie na wódkę, obiad, kolację i takie tam, grzecznościowe, bo wszyscy w wiosce wiedzieli, że obiady jadam u Waldkowej, a kolacje u Zarembów przy okazji badania postępów w rehabilitacji.

Twarze, kolorowe chusty i odświeżone stroje mieszały się jak w kalejdoskopie. Zebrane przy straganach grupki ludzi przekrzykiwały się, wybuchały salwy śmiechu,

kurwy latały jak skowronki. Przestraszone lub podniecone psy szczekały, skakały na płoty i szarpały się na łańcuchach i powrozach.

Po pierwszej fali miałam chwilę, żeby przejść się po targu i poszukać jakichś przydatnych drobiazgów. Nie potrzebowałam wiele, ale stać mnie było na kaprysy. Tym razem nie zostawiłam kartki z napisem „zaraz wracam”, którą każdy okartowski i przyjezdny odczytywał po swojemu, tylko przekazałam stragan Michasiowi. Powoli mijałam wyłożone na szerokich deskach chusty i biżuterię, naczynia, i sztuce, liny, żyłki, sieci, wałki, młotki i gwoździe; spiętrzone na wozach worki z ziarnem, mąką i ziemniakami, skrzynki warzyw oraz beczki ryb i mięs. Przyjezdni przywieźli cały asortyment. Miejscowi mieli przy sobie reprezentatywne, ściśle wyselekcjonowane próbki, a zakupiony towar można było odebrać w gospodarstwie. Nigdzie nie widziałam sołtysa. Pewnie jeszcze nadzorował ustawianie lad i wieszanie dekoracji.

Do ostatniego wozu doszłam po dziesięciu minutach, pewnie dlatego, że nie zatrzymywałam się przy każdym stoisku. Mieszkańcy wioski co pół roku wystawiali w zasadzie to samo. Na samym końcu osady, od strony drogi prowadzącej do dawnego Wężewa i dalej na Mikołajki, stał wóz wypchany złomem, który z pewnością zainteresowałby Michasia, od tygodni przeglądającego z zaciekawieniem ilustracje samochodów, pomp, rowerów i silników. Typowe zainteresowania przedwojennego nastolatka.

Handlarz nie zachwalał asortymentu. Po tylu latach żarówek, świetlówek, alternatorów, nakręcanych zega-

rów, żaluzji i odtwarzaczy płyt CD nie oglądało się na każdym kroku i w każdym gospodarstwie.

Tłum zainteresowanych artefaktami żywo komentował i głośno targował się z przyjezdnym. Gdy się zbliżyłam, ludzie ucichli i rozstąpili się na boki, pozwalając mi podejść do wozu.

– Tu to już chyba tylko obudowa została – skrytykowałam wyeksponowany akumulator samochodowy. Mały, jak do malucha czy innego smarta. Oglądając wymytą na błysk baterię, krzywiłam się bardziej niż zwykle. Jak już mówiłam: w interesach najważniejsze jest wywarcie odpowiedniego wrażenia.

– Babciu – oburzył się handlarz – przecież tej baterii nikt nigdy nie używał, bo do czego? Wlejesz, babciu, wodę z solą i zaraz będziesz mieć światło do wychodka. Albo weźmiesz sobie takie radyjko, żeby ci śpiewało do uszka. – Podniósł starą unitrę, mocno poobijaną i zdecydowanie niezdolną do śpiewu, nawet gdyby ją podpiąć do prądu.

Chwilę kręciłam nosem.

– A od kiedy to akumulatory zasila się solą, co? – spytałam, uśmiechając się złośliwie. – Jak będę chciała sobie zupę zrobić, wleję do kociołka wodę i wsypię kilka łyżek soli, to czy mi potem garnek będzie świecił lub śpiewał piosenki?

Zebrany wokół tłumek wybuchł śmiechem, handlarz spurpurowiał, ale na jego twarz, wyrażającą chęć mordy, uśmiech wrócił już po kilku sekundach. Profesjonalista.

– Wezmę za... piętnaście – zaproponowałam po chwili wahania.

Mężczyzna już schodził z wozu, żeby uściskiem dłoni dobić transakcji.

– Ale dołożysz lampę. Tamtą. – Wskazałam palcem ledową żarówkę samochodową w plastikowej obudowie reflektora jakiejś osobówki.

Handlarz zatrzymał się na chwilę, ale ostatecznie niechętnie wyciągnął dłoń. Z kieszeni spódnicy wyjęłam banknot i monetę.

– Zanieś to do sołtysa – poleciłam, wskazując pobliski dom, przesłonięty szpalerem jałowców.

Za plecami usłyszałam przekrzykującą się gromadkę brudnych dzieci.

– Słyszałam, że ojciec umarł? – zagadnęła rówieśniczkę na oko dziesięcioletnia dziewczynka.

Ojciec? Czyj? Może wielebny – pomyślałam zaniepokojona.

– Tak. Utopił się w Kałuży. Wybierał sieci i węgorz go wciągnął – odpowiedziała tamta.

– Węgorze nie wciągają. To musiał być szczupak...

Odetchnęłam. To o którymś rybaku. Wkurzał mnie stary klecha, który regularnie mnie oczerniał, potępiał z ambony i nakładał pokuty na moich pacjentów, ale kłótnie z nim uważałam za świetną zabawę, podobnie jak wszyscy odwiedzający kiermasz. Zazwyczaj przychodził wczesnym popołudniem, żeby mnie publicznie potępić. Tym razem byłam gotowa. Lekcje Michasia to jedno, ale swoją pracę domową też odrobiłam. Po-

macałam kieszeń, upewniając się po raz kolejny, że nie zapomniałam zabrać mojej tajnej broni.

Zjeżdżali kolejni zamiejscowi, przychodzili coraz to nowi klienci. Wszyscy odświętnie ubrani, wszyscy ze słoikami banknotów przez resztę roku zakopanymi w ogródkach, ukrytymi w piwnicach.

Od lat obserwuję postępującą deflację. Pieniądzy w obiegu ubywało, bo na przykład ktoś zapomniał, gdzie zakopał słoje, bo komuś chałupa spłonęła wraz z drogocenną skarpetą, bo ktoś bał się przyznać żonie, że cały dobytek przepił i zwałął winę na złodziei, a nawet okno rozbił. Dlatego co targ i sezon wartość pieniądza rosła. Wypisane na kartkach ceny nalewek i ziół były identyczne jak w zeszłym roku, ale to przecież zaledwie zaproszenie do targowania się, przewracania oczami i biadolenia. Produkty na pozostałych kramach pewnie w ogólnym rozrachunku będą tańsze niż rok temu, chyba że klient nieszczególnie potrafi się targować. Pieniądz drożeje, pomyślałam, gdy obesłam plac.

Ilość zgromadzonej przez sąsiadów gotówki nie była tajemnicą. Dochodziło przez to do waśni, a nawet wieloletnich konfliktów między chłopkami, gdy okazywało się, że ktoś ma więcej pieniędzy, niż się wszystkim здаwało. Wtedy do ataku ruszały żony gospodarzy, którzy w tajemnicy przed połowicami płacili za bimber lub kupowali prezenty kochankom. Padały oskarżenia o kradzieże, potajemne nocne wykopki w ogródkach, naciągactwo, rozpustę, puszczalstwo i w ogóle wywlekano wszystkie prywatne brudy na światło dzienne. W ubiegłych latach kilka razy doszło do rękoczynów, szarpania

za włosy, za ubrania. Podejrzewałam, że niezainteresowani zakupami czekali właśnie na takie atrakcje.

Domysły co do zamożności nie dotyczyły tylko trzech osób obecnych na kiermaszu. Mnie, bo nikt tak naprawdę nie wiedział, ilu mam pacjentów i ile mi płacą. Szczególnie że niektórzy przychodzili ze wstydliwą i piekącą przypadłością kupować spreparowaną pleśń z chleba. Krążą tylko plotki na temat mojego bogactwa, których nie dementuję ani nie potwierdzam, bo po co? Mam całkiem okazały plik banknotów z wizerunkami różnych królów, ale trzymam je na czarną godzinę. Na kiermasze zabieram tylko bilon i kilka banknotów o niższych nominałach, ale nawet z nich korzystam rzadko. Wymówka „nie mam wydać” świetnie służy zbijaniu cen przy barterze, ponieważ nie płacę nalewkami, rozlewając je na naparstki. Drugą osobą jest sołtys, który pieniądze po prostu ma. On mianowicie wszystko stara się rozliczać w gotówce, nawet gdyby miał z tego powodu stracić. Żadnej wymiany towarów czy usług – tylko forsa. Dlatego zamiast płacić sołtysowi ziemniakami za protekcję, lepiej ziemniaki sprzedać za jeden banknot z Mieszkim I i dać go sołtysowi. Ta protekcja to oczywiście żart. Ze starym światem zniknęły stara biurokracja, stare pozwolenia, licencje i certyfikaty. Trzecią osobą jest wielebny z okartowskiej fary. Wiadomo, głupio położyć na tacy kurę czy jajko. W sumie wszyscy, którzy nie prowadzą gospodarstwa, nie wytwarzają żywności ani towarów, czyli usługodawcy.

A skoro o wielebnym mowa, to jego szara, bo od dawna już nie czarna sutanna mignęła mi między ko-

lorowymi kieckami, burymi swetrami i jaskrawymi dresami. Szedł, bez pudła, w stronę mojego kramu. Przerwałam sprzedawcy zachwalającemu zalety młynka do pieprzu i pospiesznie wróciłam za ladę.

– Oto czarownica! – zaczął potężnym głosem.

Westchnęłam, patrząc na Michasia, który wyglądał na trochę przerażonego i trochę zawstydzonego. Nie przyszło mi do głowy, że z powodu nauki u mnie mogą spotkać go nieprzyjemności. Postanowiłam być kulturalna, a jednocześnie trochę się popisać. A co! Trzeba wykorzystywać wiedzę i inteligencję.

– To jeszcze, ojcze, obrzuć mnie infamią. Pewnie będzie skuteczna, tak jak w średniowieczu. – Zaczęłam od wiedzy.

– Mówi się „ojcze wielebny”, wiedźmo. – Najwyraźniej zamierzał ignorować słowa, których nie rozumiał.

– Ja nie o tym, ojcze. Ja o dzieciakach w kilku wioskach.

Trafiłam, bo tłum zaczął parskać śmiechem, a sam wielebny poczerwieniał i jakby spuchł.

– Jak śmiesz! Wiedźma łże! – zwrócił się do publiczności.

Dotychczas drażniłam się z ojczulkiem, ale tym razem nie mogłam ryzykować. Nie ze względu na siebie, bo księżulo miał za krótkie łapy, żeby sterować „moją” wioską, ale ze względu na Michasia, któremu mógł zaszkodzić. Chłopak był bystry, pojętny, ale niezbyt asertywny. To akurat nie dziwota, bo jeszcze był młody, a w tym wieku przesadną asertywność jego ojciec momentalnie wybiłby mu z głowy. A jeżeli nie on, to ja.

– Księżę, wiąże mnie tajemnica lekarska, więc nie wymienię nikogo z nazwiska. Ale przychodziły do mnie panny, jedna latem, jedna na przednówku, jeszcze jedna na koniec ubiegłego roku, przychodziły biedulki w te największe zasy i wichury. I po co? – Zawiesiłam głos i podeszłam do przykrytej serwetą ławy. Trzęsącymi się dłońmi rozrywałam foliowe torebki z suszonymi roślinami. Ale się nakręciłam! – Po rutę! – krzyknęłam i rzuciłam w stronę księdza garść suszu. – Po bylicę i werbenę! – Dwie garści wirowały w porywach jesienno-wiatru. – Albo po wrotycz, bo zapasy pozostałych ziół zużyły inne pacjentki! – Ostatnią garść rzuciłam tym razem celnie, pod same nogi klechy. – A najlepsze – zwróciłam się do zebranych – że wszystkie płaciły pieniędzmi, i to nie byle jakimi, a oznaczonymi krzyżykiem w rogu, a wszyscy wiemy, że w całym powiecie jest tylko jeden idiota, który zna czy banknoty, żeby sprawdzać, kto przepił, prawda? Żeby śledzić, gdzie potem te pieniądze trafiają i od kogo wracają na tacę!

Ksiądz zbladł, a po chwili znowu zrobił się czerwony jak burak. Ścisnął spocone dłonie i dyszał. Znowu zbladł. Zmrużyłam oczy, żeby przyjrzeć się mu dokładniej. W takiej sytuacji zawał nie byłby wizerunkowo szczególnie korzystny. Z drugiej strony... Tak. Wielebny chwycił się za mostek i padł na kolana.

Nie czekałam, bo przecież każda chwila była na wagę złota. Zakłęłam szpetnie, nawet jak na moje możliwości. Wyobraziłam sobie, co będzie się działo za dwa tygodnie, gdy okartowscy dojdą do wniosku, że Kośla-

wa złym okiem na miejscu uśmierciła wielebnego. Z wi-
dłami przyjdą, a Michasia ze wsi pogonią. Nie mogłam
sobie na to pozwolić. Z powodu lekcji zaniedbałam pro-
gramy profilaktyki i higieny, a i wcześniej rzadko od-
wiedzałam mieszkańców. Przyjeżdżających z zapasami
parobków Staszka nie wypytywałam, co się w wiosce
dzieje. Nawet Michasia po powrocie od rodziców jakoś
szczególnie nie ciągnęłam za język. Poza tym zapasy nie
starczą do wiosny. Odesłanie ucznia teraz, przy braku
pacjentów, oznaczałoby po prostu śmierć głodową.

Jakie to szczęście, że miałam przy sobie wszyst-
ko, ale to wszystko, co miało jakiegokolwiek znaczenie
przy leczeniu zawałów. Na moje polecenie Michaś
wyciągnął spod lady ogromny kufer. Otworzyłam go
i zaczęłam szukać destylatu z naparstnicy purpurowej.
Wyciągnęłam zestaw fiolek, butelek i słoików, wszyst-
ko dokładnie opisane, na wszelki wypadek również
szklaną strzykawkę z igłami ze stali nierdzewnej. Po-
biegłam w stronę chorego.

– Ty i ty. Posadźcie go i podeprzyjcie plecy – poleci-
łam dwóm mężczyznom z tłumu otaczającego leżącego
na ziemi zawałowca. Klęknięłam i otarłam mu czoło.
Pot był zimny, gęsty. Niedobrze. Odkorkowałam małą
flaskę po wódce i odchyliwszy księdzu głowę, wlałam
mu prosto w gardło połowę zawartości. Dużo ryzyko-
wałam. Naparstnica działa natychmiast, ale przecież
jest trucizną. Miałam nadzieję, że nie pomagam wła-
śnie wielebnemu w awansie do chórów anielskich. Za-
krztusił się, ale oddechu nie odzyskał. W sumie po ta-
kiej dawce spirytusu każdy normalny człek oddech by

właśnie stracił. Nadal dławił się i trzymał kurczowo za klatkę piersiową. Po głowie krążyło mi słówko „nitrogliceryna”. Chyba nawet wypowiedziałam je na głos.

– Przynies koc – poleciłam zgiętemu wpół młodzikowi, który chyba chciał zajrzeć księdzu do gardła.

– Skąd?

– Z domu, najlepiej z łóżka. Głupi jesteś?

Ludzie wokół zaczęli się śmiać. Mnie do śmiechu nie było.

– Michał! – krzyknęłam, nie odwracając się od chorego. – Podaj mi esencję wierzby!

Przez chwilę słyszałam brzęczenie szkła, gdy chłopak gorączkowo przetrząsał zawartość walizki.

– Nie ma – odpowiedział po chwili, gdy już wielbny powoli dochodził do siebie. Odetchnęłam. To nie zawał, tylko dusznica, a może migotanie. Ale mnie czarny nastraszył!

– Podpisane „aspiryna” – odpowiedziałam. Nie lubiłam się rozpisywać. Gdyby ktoś w okolicy umiał czytać, to bym pewnie pisała po łacinie, a nawet nauczyła się greki, a tak mogłam rysować dowolne szlaczki.

– Mam! – krzyknął z zadowoleniem Michaś i podbiegł z małąką z Polmosu.

Pacjent już reagował, najwyraźniej ból zelżał. Odkorkowałam flaszkę i wlałam mu w usta. Jednorazowo nie zaszkodzi. Skrzywił się trochę, ale poczuł lepiej. Po chwili zgiał się wpół i zaczął obficie wymiotować na sutannę. W rosnącej z każdym spazmem kałuży pływały kawałki kiełbasy, boczku, jakiegoś kotleta, źle pogryziona fasola. No tak. Nie musiałam robić wywia-

du, żeby przygotować receptę z diety. To zdecydowanie nie był dobry dzień dla wielebnego.

– Będiesz żyć. – Klepnęłam księdza w ramię i wstałam.

Trzymający go mężczyźni patrzyli na mnie pytająco, a na proboszcza z nieukrywanym obrzydzeniem i rozbawieniem. Gestem nakazałam im zostać na miejscu. Rozejrzałam się po zebranych. Szczęście w nieszczęściu. Pokazałam, że potrafię leczyć, i to zawały, a zawały tu znali. I nawet jeżeli nie był to prawdziwy atak serca, to objawy były wystarczająco podobne. W zeszłym roku Knitprod padł jak rażony gromem na środku ulicy, tuż po wyjściu z domu. Sąsiedzi pomogli, ale i tak umarł przed wieczorem. I tak samo trzymał się za klatkę piersiową. A ja księdza wyleczyłam i jeszcze Michaś pokazał, że umie czytać i rozpoznawać leki, i że nawet jak ja odejdę, wioska będzie pod opieką. Poszukałam wzrokiem jego ojca. Stał dalej, na skraju placu, a jego twarz wyrażała absolutną dumę. Nie patrzył na mnie, a na syna. Skinęłam mu głową. Niech inni zobaczą, że chwałę młodego przed ojcem.

Michaś, zadowolony z siebie, nażarty kielbasą, którą jemu i mnie wciskały jednocześnie druga Listkowa i Pawłowska, z podnieceniem macał co chwilę nową kurtkę wojskową, którą po akcji z księdzem kupił mu ojciec. Nie dał jej synowi, ale mnie, żebym mu przekazała.

– A co, syn ci nagle zgłupiał? – spytałam zaczepnie, starając się zachować wypracowany przez lata dystans względem okartowskich. Dziś mogłam sobie na to pozwolić. – Stoi tu obok, to mu ją daj. Zasłużył.

Kania przekazał synowi podarek. A potem wyciągnął z worka i położył na ladzie skarb. Ale taki, że nawet nie mogłam o podobnym marzyć. W zachodzącym jesiennym słońcu lśnił wykonany z brązu destylator. Jajowaty deflegmator nad umieszczonym na trójnogu kociołkiem u góry łączył z miedzianą rurą zawór kulkowy. Obok zaworu umiejętnie wlutowany sterczał manometr Karl Marx. Po dmuchnięciu w rurkę wydawał się działać, a jaki był czuły! Blok chłodniczy ze spiralą z hydraulicznych rurek miedzianych, giętych na ciepło i lutowanych, wprawiał w osłupienie. To musiało kosztować majątek!

– Za ile? – spytałam, udając, że gorączkowo poszukuję w kieszeniach portfela. Nie było tam wystarczająco dużo pieniędzy i to wcale nie dlatego, że wzięłam ich za mało. Musiał kosztować tyle, co gospodarstwo.

– To za darmo – odpowiedział, a ja nie uwierzyłam. Facet był bardziej przebiegły niż z początku sądziłam. Jego tynktura i moje zioła? To byłaby złota kura znosząca platynowe jajka!

– Nic nie jest za darmo. Nie biorę – odpowiedziałam z żalem, odpychając kociołek.

– Weź, Starsza, mnie się nie przyda. Za mały. – Popchnął destylator z powrotem w moją stronę.

– A co, syn ci nagle zgłupiał? – powtórzyłam pytanie, kiwając głową w stronę milczącego ucznia. – Daj jemu. Jemu się przyda, a alembik wróci do ciebie, gdy już młody skończy naukę. Ja tego nie chcę – odpowiedziałam, siłąc się na obojętność, bo przecież chciałam. Bardzo chciałam!

Przytaknął i przesunął instalację w stronę syna.

– To twoje – zwróciłam się do chłopca. – Jutro po powrocie pokażę ci, jak o to dbać.

– Ja wiem – odpowiedział.

No przecież, że wiedział. Pewnie lepiej ode mnie. Destylator był w idealnym stanie, a przecież to z niego musiał pochodzić bimber, który Michaś przyniósł ze sobą pierwszego dnia.

Do wieczora sprzedawałam wszystko na pniu. Klienci nawet specjalnie się nie targowali. Chcieli oczywiście naparstnicę, a ja, naturalnie, odmawiałam.

– Na receptę – powtarzałam do znudzenia.

Zamiast tego sprzedawałam esencję z wierzby i nalewkę z aronii (tę drugą w małych ilościach, bo kopie jak koń). Michaś kasował gotówkę i towary, wpisywał wszystko skrzętnie na swoją listę, którą później będzie musiał mi przetłumaczyć na ludzki język, bo znaczki, choć niektóre przypominały litery, a nawet wyrazy, bardziej kojarzyły się z piktograficznym pismem stosowanym przez Staszka.

Przy okazji przekonałam się, że w Okartowie na stałe zadomowił się zwyczaj łamania kości przy podawaniu dłoni. Z obawą czekałam na jutrzejszy dzień. Pewnie kubka z herbatą nie podniosę. Poszłam na szybki obiad do Waldkowej, a Michaś został jeszcze uprzątnąć stoisko. Prawdopodobnie narobi bałaganu w przyniesionych przez klientów opakowaniach, za które obniżałam ceny sprzedawanych specyfików, ale to była kolejna moja manifestacja: chłopak jest już na tyle zorientowany, że można go zostawić bez nadzoru. Poradzi sobie.